DIABELSKA ZABAWKA DYREKTORKI

str. 6

FAKTY PO MITACH

Nr 47 (271), 21 – 27 listopada 2025 r.

JĘDRASZEWSKI UZDROWICIEL RODZIN

str. 3

RELIKWIA Z POTOPU: Od sześciu dni jestem innym człowiekiem: uwierzyłem. Nie wiem jeszcze w co, ale poczułem, jak zmienia się mój stosunek do bliźnich... (Darek Cychol, str. 2)

MOJE POTYCZKI ZE ZBIGNIEWEM Z.: Zbigniewa Ziobry nie poznałam osobiście. Nigdy nie uścisnęliśmy sobie rąk ani nie wymieniliśmy nawet zdawkowych, grzecznościowych formułek... (prof. Joanna Senyszyn, str. 19)

9 772719 530505 47

cena 9,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2719-5309 INDEX 434000

tygodnikfaktypomitach

faktypomitach.pl

eprasa.pl c170c7d41c

Akademia absurdu

Relikwia z potopu

Od sześciu dni jestem innym człowiekiem: uwierzyłem. Nie wiem jeszcze w co, ale poczułem, jak zmienia się mój stosunek do bliźnich. Szczególnie tych oglądających TV Republika.

Są na świecie sprawy nieśniące się nawet najbardziej odlotowym filozofom. Ale śniące się ludziom na potężnym haju lub z poalkoholową „białą gorączką". Są i tyle. Gorzej, gdy przenikają do świata realnego, nabierają cech przekazu historycznego, a z czasem stają się faktami. Oczywiście bezdyskusyjnymi, bo z faktami się nie dyskutuje.

Zdarza się, że ludzie analizują swoje wizje. Jedni się ich wstydzą, inni zamieniają je w literaturę, kolejni idą z nimi w politykę („miałem sen"), a jeszcze inni próbują na nich zarabiać. Pewnie tak powstała fantastyka, choć oczywiście nie wszystkie wizje królów tego gatunku musiały się rodzić w stanie ograniczonej świadomości. Tak mogło też być z religią (rozmowa z płonącym krzakiem). Podobnie, kiedy próbowano budować utopijne systemy polityczne, na przykład te opierające się na idei komunizmu. Na haju powstawały i powstają wspaniałe dzieła muzyczne i malarskie. Produkty „odlotu" są zazwyczaj fajne, bo rozszerzają horyzonty myślowe, skłaniają do refleksji, pozwalają myśleć alternatywnie. Oczywiście do czasu.

Jeśli jakaś wizja staje się bardzo popularna, ludzie zaczynają na niej zarabiać. Z tego wzięła się religia. Im człowiek był głupszy, tym łatwiej było mu sprzedać coś bezwartościowego (obietnica życia wiecznego). A skoro biznes się kręcił, pojawiały się nowe produkty w postaci przeróżnych relikwii (szczebel z drabiny, która przyśniła się Jakubowi). Jeszcze później do biznesu wkroczyła „nauka" w postaci teologii czy naukowego komunizmu. (Koniecznie przeczytajcie felieton Pani Profesor J. Hańderek na str. 7). Powstały setki tysięcy książek na temat wyższości gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną, o przyszłości kołchozów w erze komunizmu, ale też o psychice aniołów, wiecznym dziewictwie wielokrotnej matki, tajemnicy przemiany wina w krew (albo odwrotnie), chleba w ciało (albo odwrotnie) itp. Autorzy tych „dzieł" żyli, a niektórzy żyją dalej, w dostatku, mają tytuły naukowe, cieszą się szacunkiem i wpływami politycznymi, bo jeśli jakaś koncepcja potrafi zdobyć zwolenników, niechybnie sięgną po nią politycy. Nie ma paradoksu w tym, że mając do wyboru „odlot" lub „normalność", część ludzi wybiera to pierwsze. Dlaczego? Bo łatwiej żyć marzeniem niż pracować nad jego urzeczywistnieniem. No i można w „coś" wierzyć.

Kiedy ludzie zaczęli mądrzeć, religie stanęły przed poważnym problemem, bo nie potrafiły odnieść się do stwierdzenia, że „wiara" wyklucza „pewność". Masz na coś dowód – nie wierzysz. Wierzysz – żyjesz nadzieją i nie szukasz dowodu, bo go nie potrzebujesz. To sprawiedliwe rozgraniczenie, ale niewygodne dla kat. Kościoła, bo ogranicza możliwość produkcji nowych towarów na sprzedaż, chociażby w postaci świętych. Dlatego przed okrzyknięciem kogoś świętym szuka się dowodów jego świętości w postaci „cudów". Głupie to, bo nielogiczne (pewność wyklucza wiarę), ale też nie musi być mądre; grunt, żeby było skuteczne, czyli zamieniało wiarę w kasę.

W czasach współczesnych, kiedy dostęp do zgromadzonej przez ludzkość wiedzy jest praktycznie nieograniczony, Kościół przystopował trochę handel tym, czego można dotknąć. Nie sprzedają więc czaszek Jana Chrzciciela (może być tylko jedna), włóczni, którą przebito bok Chrystusa (szt. 1), gwoździ, które trzymały go na krzyżu (maks. 3 sztuki). Nie sprzedają nawet szczebli z wyśnionej przez Jakuba drabiny, choć tych mogłaby być nieskończona liczba, bo drabina „sięgała nieba". Ograniczyli się do sprzedaży tych „świętości", które sami stworzyli decydując, że są święte – czyjegoś zęba, kropli krwi, włosa itp. Sprytne to, bo spieniężają coś prawdziwego z pochodzenia (przynajmniej tak deklarują), a reszta jest sprawą wiary… Ta zaś nie ma ograniczeń.

Do bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie ciągną tłumy, by na własne oczy zobaczyć pusty sarkofag, w którym miał spoczywać Jezus, i doznają olśnienia w swojej wierze. Dlaczego? Bo skoro go w nim nie ma, to znaczy, że zmartwychwstał… Można tam też wsadzić rękę w pustą dziurę, w której miał stać krzyż z konającym Jezusem. Skąd wiadomo, że ta dziura to „ta" dziura? Wszystko jest kwestią wiary… Można też wyświęcić torbę z dewocjonaliami made in China, kładąc ją na kamieniu, na którym Maria obmywała ciało syna. I nieważne jest, że ze 3 metry od tego kamienia wisi tablica informująca, że ten kamień to nie „ten" kamień. Wiara nie ma ograniczeń, za to czyni czuba, ten zaś robi to, co mu się podpowie.

Jak wspomniałem we wstępie, kilka dni temu zmienił się mój sposób oceny rzeczywistości. Przyjaciel z Francji podesłał mi pewien filmik. Obejrzałem go i zaniemówiłem. Potem jeszcze raz go sobie puściłem i jeszcze raz, i jeszcze. Czułem się, jakbym w pysk dostał. Kiedy trochę doszedłem do siebie, zacząłem sprawdzać autentyczność nagrania i znowu przeżyłem szok: było prawdziwe. Co mnie tak odmieniło? Widok księdza w studiu telewizyjnym, a precyzyjniej – widok tego, co do niego przyniósł. Była to rzeźba w kształcie krzyża, w centralnym puncie którego znajduje się przeszklona część, a w niej… drzazgi z arki Noego. Nie zespołu muzycznego, ale z tej mitycznej łajby, na której 600-letni pan żeglował rok, przez 40 dni mierząc się z deszczem. Na dowód tego, że sprawa jest poważna, ksiądz (Roman Piwowarczyk) pokazał coś jeszcze: wykonaną z lawy wulkanicznej miniaturę arki, na której siedzi biała gołębica wielkości, na oko, ⅕ samej łodzi. (Czyli w naturze miałaby ze 30 metrów w kłębie). Zapewniam, że duchowny i prowadzący program w porannym paśmie TV Republika byli szczęśliwi i poważnie traktowali to, co robili.

I tu właśnie jest ten moment mojej przemiany. Uwierzyłem, że Polaka i polską telewizję stać na coś wielkiego. Indiana Jones to przy nich cienias. Tak, Polak potrafi! – pomyślałem. Druga porcja mojego uznania spadła na samego duchownego. Niby teolog, niby odklejony od rzeczywistości, a dokładnie wiedział, do jakiej TV pójść, żeby podbić świat. Czyż nie wyjaśnia to mojej przemiany?

Darek Cychol

PS Filmikowi, który przysłał mi Kolega, towarzyszył krótki list: „Co oni biorą, jak się w Medellin dowiedzą, to tylko to będą produkować zamiast hery". Drogi Sławku. Nie wiem. Ale też chcę! (d.)

FAKTY bez mitów

Gmina Czarny Dunajec wykupiła budynek dawnej, zdewastowanej synagogi, złożyła wniosek o dofinansowanie jej remontu, stworzyła koncepcję utworzenia lokalnego centrum pamięci… a teraz jest na najlepszej drodze, by wyrzucić to wszystko do kosza. Lokalni radni PiS uznali, że remontu synagogi, choćby od dawna nieczynnej, być nie może, skoro nie da się przeznaczyć środków unijnych na kościoły. Nie pomógł nawet argument, że centrum pamięci mogłoby przyciągać gości zagranicznych, którzy wydawaliby w gminie pieniądze. Idzie nowe: w imię starego katolickiego antysemityzmu stracono twarz, dobre imię i jeszcze kasę. Powinniśmy się przyzwyczajać do „nowego"?

***

Przez lata zarządzający elektrociepłownią w Będzinie zachowywali się tak, jakby przepisy o rozliczaniu emisji dwutlenku ich nie dotyczyły. Teraz Główny Inspektor Ochrony Środowiska dowalił spółce Elektrociepłownia Zagłębie Dąbrowskie kary za nierozliczone certyfikaty w łącznej wysokości 700 mln zł. Zarząd podmiotu załamuje ręce płacząc, że te kwoty przekraczają przychody spółki i gdyby naprawdę miały zostać ściągnięte, zabraknie kasy na ogrzewanie domów. Coś czujemy, że władza nie zaryzykuje pozostawienia obywateli na mrozie i jakieś wyjście znajdzie się – tylko za głupotę zarządców ciepłowni nie odpowie nikt.

***

Mieszkaniec gminy Kłomnice (woj. śląskie) przez ponad rok miał przetrzymywać na prywatnej posesji niedźwiedzicę. Nie wiadomo, dlaczego zamiast bardziej popularnego zwierzęcia domowego zdecydował się trzymać u siebie przedstawicielkę potencjalnie niebezpiecznego gatunku. Kiedy już lokalna policja w mozole ustaliła, że niedźwiedzica nie ma na prywatnej działce dobrych warunków do życia, zwierzę trafiło do zoo w Poznaniu. Trafić za kratki na (maksymalnie) pięć lat, może też jej były już opiekun.

***

Karolina Opolska, jedna z twarzy TVP Info, wydała książkę o teoriach spiskowych. A potem internauci, ewidentnie zazdrośni o kompetencje tej zasłużonej autorki, przeanalizowali przypisy w pracy i znaleźli w nich nieistniejące książki oraz adresy URL ze znacznikiem chatGPT. Opolska próbowała zwalić winę za błędy na wydawnictwo i oczywiście zaklinała się, że żadna sztuczna inteligencja książki za nią nie pisała. Nam wystarczy inteligencji własnej, by ocenić, na ile to wiarygodne. Ciekawe, czy skandal utrudni Opolskiej lansowanie się w sieci jako ekspertki od dezinformacji i AI.

***

Były prezydent Nowej Soli Wadim Tyszkiewicz założył w końcu zapowiadaną od dawna partię polityczną. Nazwa ugrupowania? Nad wyraz ambitna – Nowa Polska (ktoś w końcu musi zastąpić upadającą Polskę 2050). Program ugrupowania brzmi jak większość programów polskich partii politycznych – partia chce reformować system podatkowy, naprawić służbę zdrowia i oświatę, wspierać przedsiębiorców i sytuować się w politycznym centrum. No i nie wiemy, po co ktoś miałby na tę Nową Polskę głosować, skoro podmiotów głoszących to samo ma na pęczki.

A.S.

eprasa.pl c170c7d41c

Po pierwsze... rodzina?

fot. Malopolska.pl

Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego chwali się uruchomieniem – za prawie 900 tys. zł – nowej poradni rodzinnej w Nowym Targu. Poprowadzi ją fundacja, założona przez krakowską kurię Marka Jędraszewskiego.

Nowa poradnia przy ul. Ludźmierskiej 17 w Nowym Targu oferować będzie szeroki zakres pomocy dla rodzin, kobiet w ciąży, dzieci i młodzieży. W nowoczesnym budynku przygotowano dwa gabinety, gdzie wsparcie będzie udzielane stacjonarnie, ale również zdalnie (...). Fundacja planuje oprzeć działalność poradni na trzech filarach: diagnozie potrzeb, profilaktyce i interwencji. W ofercie znajdzie się m.in. psychoterapia indywidualna i rodzinna, doradztwo psychologiczne, pedagogiczne, prawne i socjalne, a także warsztaty komunikacji, spotkania z mediatorami i grupy wsparcia dla osób dotkniętych przemocą i uzależnieniami" – informuje urząd.

Wszystko to brzmi wspaniale. A jak będzie wyglądało w praktyce?

Wsparcie, ale dla kogo?

Poradnia w Nowym Targu powstała w ramach rządowego programu „Po pierwsze Rodzina". Program (w formie konkursu) ruszył po raz pierwszy w 2020 r., a jego celem było dofinansowanie projektów organizacji pozarządowych, które wspierają demografię i politykę rodzinną. Zastrzeżenia do programu rządu PiS od początku jego istnienia miała Najwyższa Izba Kontroli (NIK). W 2022 r. negatywnie oceniła przygotowanie, realizację, nadzór nad działaniami oraz ich rozliczenie. Zdaniem NIK, minister rodziny i polityki społecznej nie zapewniał prawidłowego, gospodarnego i efektywnego wykorzystania dotacji przyznanych wybranym organizacjom pozarządowym. W opinii Izby, ocenianie ofert miało charakter uznaniowy i mogło powodować „powstawanie mechanizmów korupcjogennych". Program jednak nadal działa. Poradnia w Nowym Targu jest jedną z dziesięciu placówek powstałych w jego ramach i jest finansowana z Programu Fundusze Europejskie dla Małopolski 2021-2027 (Działanie 6.23 typ B).

Budżet całego projektu, realizowanego od lipca 2025 r. do końca grudnia 2028 r., wynosi łącznie 19,6 mln zł, z czego 85 proc. to środki europejskie. Reszta pochodzi z budżetu państwa i Samorządu Województwa Małopolskiego oraz jego partnerów. Na uruchomienie i prowadzenie nowotarskiej placówki Fundacja Towarzyszenia Rodzinie im. prof. Stanisława Grygiela dostała ponad 873 tys. zł. Sama dołożyła niespełna 44 tys. zł. Jak informuje archidiecezja krakowska, na uroczystości z okazji otwarcia obecni byli przedstawiciele samorządów i „liczni reprezentanci lokalnych instytucji społecznych, szkół i duchowieństwa".

– Małżeństwo to fundament naszego narodu, tymczasem obecnie wiele mediów przedstawia je jako coś wręcz patologicznego. Promowana jest postawa, że lepiej mieć pieska niż dziecko i stąd m.in. tak niska dzietność w Polsce. Trwała rodzina to podstawa, tymczasem są już dane, że prawie połowa małżeństw kończy się rozwodami. Owszem, czasami to konieczne, ale trzeba przypominać i uczyć, że to ostateczność. I stąd działania, które mają pomóc rodzinom znajdującym się w kryzysie – mówił prof. Jan Duda, przewodniczący Sejmiku Województwa Małopolskiego, prywatnie ojciec byłego prezydenta Andrzeja Dudy.

– Świat się zmienia, ten proces wychowawczy jest trudny, nie zawsze wiemy, jak się zachować, żeby ten młody człowiek mógł się odnaleźć w rzeczywistości. Po to są te poradnie, aby każdy mieszkaniec mógł się do niej zgłosić i otrzymać kompleksowe wsparcie – przekonywała Marta Malec-Lech z zarządu województwa.

Kościelna fundacja

Wsparcie rodzin to zawsze dobry pomysł. Instytut Wiedzy o Rodzinie i Społeczeństwie wylicza najczęstsze problemy, z którymi muszą mierzyć się polskie rodziny. Są to, m.in.: kryzys demograficzny, trudności materialne, brak równowagi między pracą a życiem rodzinnym, narastająca samotność, problemy psychiczne, przemoc i uzależnienia. Dodatkowo, organizacja Kampania Przeciw Homofobii wskazuje, że dużym problemem polskich rodzin jest także brak akceptacji rodziców dla odmiennej orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej ich dzieci. Aż 17 proc. badanych ze społeczności LGBT+ doświadczyło bezdomności. Chodzi przede wszystkim o osoby młode, wyrzucane z domu przez rodziców tylko dlatego, że przyznają się np. do homoseksualizmu.

Tymczasem Fundacja Towarzyszenia Rodzinie imienia prof. Stanisława Grygiela, która wygrała konkurs i będzie prowadziła nowotarską poradnię, została założona przez Wydział Duszpasterstwa Rodzin Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Jej fundatorem jest metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski, a prezesem zarządu ks. Paweł Gałuszka, proboszcz parafii Liszki, który uważa m.in., że kobiety powinny zrezygnować z pracy i zajmować się domem. „Dzisiejszy świat potrzebuje jasnego świadectwa życia mężczyzn, ale w sposób szczególny kobiet, które pokażą, że pośród widzianego świata cyfr, korzyści, interesów istnieją wartości, dla których warto żyć, ofiarować karierę i przyszłość (...)" – mówił kilka lat temu ks. Gałuszka w bazylice św. Floriana w Krakowie.

W rozmowie z KAI (2018 r.) ksiądz przekonywał też o racji Karola Wojtyły, dotyczącej stosowania antykoncepcji. Według duchownego, ma ona prowadzić do zaniku godności małżonków i relacji, w której są równi. Z kolei w ub.r. w homilii cytowanej przez Radio Plus mówił, że „nie ma idealnych rodzin, nie ma idealnych małżeństw. Ale wszędzie tam, gdzie odkrywa się i dąży się do miłości (...) tam pojawia się konkretny cel, jakim jest świętość".

O specyficznym podejściu abp. Marka Jędraszewskiego do kwestii najczęstszych problemów rodzinnych nie trzeba nawet przypominać. Hierarcha niejednokrotnie wyartykułował, co myśli o osobach LGBT i „produktach" z in vitro. Chwalił mało efektywną metodę zapłodnienia naprotechnologię, a samotność po rozwodzie nazywał heroizmem.

Jak więc fundacja, zarządzana przez osoby o takich poglądach, może skutecznie pomagać współczesnym rodzinom? Zapytaliśmy o to Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego, któremu podlega Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej, koordynujący projekt. Przesłaliśmy też zapytania „w jaki sposób będzie wyglądała pomoc osobom, które np. chcą się rozwieść, są innej orientacji seksualnej lub mają problemy z naturalnym zapłodnieniem?", a także „czy finansowana ze środków publicznych placówka związana z chrześcijańską Fundacją i Archidiecezją Krakowską będzie udzielać informacji o in vitro, pomagać przy rozwodach lub wspierać osoby LGBT?"

Odpowiedź z urzędu

„Lider projektu, jak i wszyscy Partnerzy zobowiązani są do przestrzegania przepisów antydyskryminacyjnych, o których mowa w art. 9 ust. 3 Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 2021/1060 z dnia 24 czerwca 2021 r., praw objętych Kartą Praw Podstawowych Unii Europejskiej oraz zapisów Konwencji o Prawach Osób Niepełnosprawnych, a podejmowane działania nie mogą powodować nieuprawnionego różnicowania, wykluczania lub ograniczania osób ze względu na jakiekolwiek przesłanki" – czytamy w piśmie przesłanym „FpM" przez Magdalenę Opyd, rzeczniczkę Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego.

Z bardzo długiego e-maila dowiadujemy się też, że celem projektu jest tworzenie warunków do dobrego funkcjonowania małopolskich rodzin, że koordynator projektu chce utworzyć całą sieć specjalistycznych poradni, podnieść kompetencje kadr świadczących usługi wsparcia rodziny i pieczy zastępczej, a także zorganizować turnusy terapeutyczno-wspierająco-szkoleniowe dla rodzin zastępczych oraz rodzinnych domów dziecka. Na odpowiedź na nasze pytania zapewne zabrakło już miejsca; zapewne z woli bożej...

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl c170c7d41c

WIARA CZYNI CZUDA

USA: wierzący zodiakarze

Z badania Pew Research Center wynika, że 27 proc. dorosłych Amerykanów wierzy, iż „pozycja gwiazd i planet może wpływać na życie ludzi”.

Choć Biblia zabrania astrologii i innych praktyk wróżbiarskich, 27 proc. Amerykanów przynajmniej raz w roku sięga po astrologię, horoskop, karty tarota lub radzi się wróżki. Większość z nich traktuje to jako formę rozrywki, ale część przyznaje, że na podstawie takich wskazówek podejmuje ważne życiowe decyzje. Mocniejsze przekonanie o wpływie gwiazd na życie człowieka wykazywali czarnoskórzy protestanci i latynoscy katolicy niż biali ewangelicy. Z badania wynika, że to kobiety (35 proc.) znacznie częściej deklarują wiarę we wróżby niż mężczyźni (18 proc.). Większymi „zodiakarzami” okazali się młodsi respondenci – tacy, którzy nie przekroczyli 65. roku życia. Badanie przeprowadzono jesienią 2024 r.

W. Brytania: łzy embrionów

Katolickie organizacje lamentują nad ustawą o aborcji. Jednocześnie protestują przeciwko „upamiętnianiu” zarodków niewykorzystanych do zapłodnienia metodą in vitro.

Organizacja pro-life Right to Life UK opłakuje 58. rocznicę uchwalenia ustawy o aborcji wskazując, że doprowadziła do śmierci blisko 11 mln dzieci. Jej działacze podkreślają, że w kraju króla Karola III co dwie minuty przerywana jest jedna ciąża, co oznacza średnio 31 aborcji na godzinę. Jednocześnie katolicy coraz częściej oburzają się na praktyki zapoczątkowane przez firmę Blossom Keepsake – „upamiętniania” niewykorzystanych w procedurze in vitro zarodków jako elementów biżuterii. Katoliccy aktywiści nazywają to „nihilistycznym” luksusem i symbolem laboratoryjnego niszczenia życia. Czyli lepiej, by „płakały w zamrażarkach”?

Finlandia: wyautowany ksiądz

Po raz pierwszy od ponad 60 lat fińska reprezentacja olimpijska wyruszy na igrzyska bez duchownego. Finowie liczą na lepsze wyniki sportowców.

Fiński komitet olimpijski ogłosił zmianę, która kończy trwającą ponad sześć dekad praktykę obecności duchownego w reprezentacji. Decyzja dotyczy zimowych igrzysk olimpijskich we Włoszech w 2026 r. Wsparcie mentalne sportowcom ma zapewnić teraz duet specjalistów: psychiatra oraz psycholog. Leena Huovinen, która od dwudziestu lat pełniła funkcję tzw. sportowego księdza, nie kryje żalu. „Przez wiele lat nie tylko pełniłam tę funkcję podczas igrzysk, lecz także pomiędzy nimi, udzielając ślubu wielu olimpijczykom i chrztu ich dzieciom. Bardzo zżyłam się z tym środowiskiem. Teraz czuję się zawiedziona decyzją komitetu, która niszczy tak ważną dla naszego sportu tradycję” – mówi rodzimym mediom. Lamentu samych sportowców nie słychać.

Kanada/W. Brytania: cenzura Biblii

„Grafiki obrażeń ciała i przemocy”, „mowa nienawiści”. Brytyjski uniwersytet i kanadyjski polityk ostrzegają przed treściami biblijnymi.

Uczelnie wyższe coraz częściej ostrzegają przed treściami, które mogą wywołać silne reakcje emocjonalne. Uniwersytet Sheffield do takich pozycji zakwalifikował m.in. Biblię. Studenci literatury angielskiej zostali poinformowani, że może ona zawierać treści opisujące „obrażenia ciała i przemocy”. Jako przykłady wskazano na przykład historię Kaina i Abla oraz mękę Chrystusa. Jednocześnie w Ottawie podczas parlamentarnej dyskusji na temat przepisów dotyczących mowy nienawiści Marc Miller, przewodniczący Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, stwierdził, że niektóre fragmenty Biblii „sieją nienawiść”, szczególnie jeśli chodzi o osoby homoseksualne. Dyskusja dotyczyła zakresu pojęcia „działania w dobrej wierze”, obecnego w kanadyjskim systemie prawnym. Według polityka, Biblia powinna być wyłączona z tego przepisu. Jak wskazał, na jej podstawie wielokrotnie budowano linię obrony w sprawach dotyczących przestępstw z nienawiści.

fot. Facebook / Screenshot

Kenia: dzieci sekty

Policja w Mombasie uratowała 20 dzieci odizolowanych od świata przez religijną sektę.

W trakcie nalotu na kościół Służby Namaszczenia Ogniem Syjonu uratowano 20 dzieci w wieku od 2 do 15 lat i 7 kobiet. Jak informuje policja, Kościół całkowicie izolował ich od świata zewnętrznego. Dzieci nie miały normalnej opieki i edukacji. Gdy znalazła je policja, leżały na podłodze, bez moskitier (co w regionie stanowi ryzyko zarażenia malarią). Założycielka kościoła Elizabeth Kadori zaprzecza wszelkim zarzutom o nadużycia. W kwietniu br. policja uratowała 57 osób i odzyskała dwa ciała z kościoła St. Joseph’s Mission of Africa w hrabstwie Migori. Do tej pory nie wiadomo, jak doszło do tamtejszej tragedii. Po odwiezieniu do szpitala uratowani sprzeciwiali się badaniom i nie chcieli zeznawać. Śpiewali pieśni religijne.

Włochy: kobiety w Kościele

Episkopat zatwierdził dokument, w którym wzywa Stolicę Apostolską do zbadania kwestii związanych z wyświęcaniem kobiet do diakonatu.

W sekcji 71c dokumentu synod włoskich biskupów oferuje swoje „wsparcie i (promuje – red.) projekty badawcze wydziałów i stowarzyszeń teologicznych, aby dostarczyć teologiczne i kanoniczne argumenty do decyzji o diakonacie kobiet”. Kardynał Matteo Zuppi, który pełnił funkcję przewodniczącego synodu, wezwał biskupów do wdrożenia propozycji w swoich diecezjach. Diakoni mogą udzielać komunii, głosić homilie i udzielać niektórych sakramentów (np. chrztu). Nie mogą jednak odprawiać mszy, spowiadać ani udzielać święceń.

Litwa: samotność proboszcza

„Spędzam całe dnie wpatrując się w ściany mojej plebanii. Nic nie mam do roboty. Nikt wokół mnie niczego nie potrzebuje. (…) Mógłbym wiele zrobić, ale nie ma nikogo, kto by tego potrzebował – żali się ks. Sigitas Bitkauskas.

Lata temu kościół św. Jerzego w 20-tysięcznych Kiejdanach wypełniony był wiernymi. Obecnie podczas nabożeństw w ławkach zasiada zaledwie kilku seniorów. Jak donosi portal lrytas.lt, ta cisza jest bardzo bolesna dla proboszcza ks. Sigitasa Bitkauskasa, który został przydzielony do tej parafii po raz drugi w swojej posłudze i widzi jej powolny upadek. Jego zdaniem, to skutek pandemii i… wzrostu dobrobytu materialnego. „Ludzie mają ładnie urządzone domy, stabilną pracę i pieniądze. A w tym dobrobycie po prostu nie ma miejsca dla Boga” – mówi duchowny. I żali się: „Czasami żartuję – ale jest w tym dużo prawdy – może będę musiał jeździć Boltem, żeby zarobić na życie? Po dwóch latach pracy tutaj nie mam wystarczająco dużo pieniędzy, aby gdziekolwiek wyjechać. Nadal chcę podróżować i zobaczyć świat. A tutaj nie ma nic, zupełnie nic”. Proszę księdza, przecież jest Bóg!

RPA: napad na mszy

Departament Bezpieczeństwa wzywa przywódców religijnych do zabezpieczania swoich kościołów.

Podczas oficjalnego wystąpienia przedstawiciel rządu Jackie Macie powiedział, że kościoły powinny zacieśnić współpracę z policją; zawrzeć umowy z lokalnymi firmami ochroniarskimi, zainstalować kamery i systemy alarmowe. Wszystko po to, by chronić swoich wiernych przed rabunkami. Apel miał miejsce wkrótce po tym, jak w czasie nocnej modlitwy ok. 60 wiernych zostało zaatakowanych przez rabusiów. Sześciu zamaskowanych mężczyzn, grożąc bronią, zmusiło ich do położenia się na podłodze i ukradło: telefony, portfele, odzież i pieniądze. Takie napady w ostatnich dniach miały miejsce w kościołach w Bushbuckridge i KwaMhlanga.

Stronę redaguje Wanda Kwiecień

eprasa.pl c170c7d41c

POLETKO PANA B.©

ASYSTENTKA BISKUPA

Oto zdjęcia Marty Nawrockiej z Paryża: nasza Pierwsza Dama – w gustownym fioletowym obwarzanku, tzw. toczku na głowie – uczestniczy w uroczystości w świeżo wyremontowanej po pożarze katedrze Notre Dame. Nawrocka otóż została oddelegowana do towarzyszenia arcybiskupowi Tadeuszowi Wojdzie, który przywiózł Francuzom nową kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, gdyż poprzednia spłonęła. Obyczaj dyplomatyczny wymaga, by małżonka prezydenta podczas wizyty, było nie było, zagranicznej zrobiła coś więcej niż asystowanie odprawiającemu mszę biskupowi – np. spotkała się z kimś. Nawrocka spotkała się więc… z „licznymi przedstawicielami Polonii francuskiej", jak zapewnia Kancelaria Prezydenta. Nie z Brigitte Macron, co uczyniłoby zadość protokołowi. I z nikim ważnym. Szefem Biura Polityki Międzynarodowej w kancelarii Nawrockiego jest niejaki Przydacz.

DUCHOWY WYMIAR

Święto Niepodległości 11 listopada, Warszawa. Już o godz. 11 rozpoczęła się uroczysta msza w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim, gdzie szykujący się do przemarszu przez miasto narodowcy ładowali duchowe akumulatory. „Moment refleksji i wspólnego spotkania przed samym marszem" – opisują to wydarzenie organizatorzy marszu, cokolwiek nielogicznie, bo spotkanie z natury rzeczy jest wspólne. Na tym jednak nie koniec akcentów religijnych. Marsz Niepodległości miał ruszyć z ronda Dmowskiego o godz. 14, a już godzinę wcześniej zgromadzeni odmówili różaniec – „co nadało wydarzeniu duchowy wymiar". Po odmówieniu różańca masa ludzi ruszyła, prezentując światu chrześcijańskie hasła: „Ruda świnia do Berlina", „Ruda wrona orła nie pokona", „W górę serca, jeb…ć TVN", „Marsz mówi nie LGBT", „Biała Europa" i tym podobne („FpM" 46/26). Szczytem pobożności uczestników tego spędu było zaś spalenie flagi Unii Europejskiej.

W CIENIU WIEŻY

Po latach przepychanek Kościół postawił na swoim. W ścisłym centrum Warszawy, u zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Emilii Plater, powstanie 170-metrowy wieżowiec Roma Tower, nieoficjalnie zwany Nycz Tower, bo o tę inwestycję długo zabiegał abp Kazimierz Nycz, dziś były już metropolita warszawski. Zaczął za prezydentury Hanny Gronkiewicz-Waltz, kończy pod berłem Rafała Trzaskowskiego, który najwyraźniej nie ma już siły i ochoty na kopanie się z koniem. Stołeczny konserwator zabytków stawiał opór, argumentując, że wieża Nycza zdominuje tamtejszą niską zabudowę, w tym zabytkowe obiekty parafii św. Barbary. Protestowali okoliczni mieszkańcy i lokatorzy mieszkań komunalnych w budynku po drugiej stronie ulicy, które znajdą się w cieniu wieżowca. Mimo to stołeczny ratusz radośnie wydał pozwolenie na budowę. Zacienione mieszkania przerobi się na lokale użytkowe; inwestor wyłoży na to parę milionów. Wysiedleni lokatorzy dostaną nowe mieszkania na koszt miasta. To drobiazg przy miliardowych interesach Kościoła. Roma Tower miała być biurowcem o powierzchni 62 tys. mkw., będzie apartamentowcem z 370 mieszkaniami. Na chwałę bożą.

ROZMNAŻACZE

Stoimy na krawędzi zapaści demograficznej jako naród. Jak tak dalej pójdzie, będziemy znikać i rozpłyniemy się pośród tych, którzy zajmą nasze miejsca, nasze miasta, wsie i domy" – ogłosił na mszy w katedrze na Wawelu w dniu Święta Niepodległości abp Marek Jędraszewski, urzędujący wciąż metropolita krakowski. Lewactwo spycha nas z krawędzi prosto w przepaść, próbując wprowadzić „prawo, które stanowi prawdziwe zagrożenie dla instytucji małżeństwa i rodziny". Chodzi o „głośny projekt prawa o statusie osoby bliskiej" (w oryginale mowa o statusie osoby najbliższej). Według Jędraszewskiego zatem Jaś i Małgosia, para hetero, zrezygnują z dzieci, gdy ich znajomi geje, Tomek i Romek, będą mogli zawrzeć u notariusza umowę cywilnoprawną dotyczącą głównie finansów. O demografię zadbał też Krzysztof Bosak, zachwalając baner z Marszu Niepodległości: „Kotki i psiecka nie zastąpią ci dziecka". „Kurde. Chwyciło. Ja i moje koleżanki już biegniemy się rozmnażać" – wykpiła go na X Maffashion.

KOCHANA MATUCHNO

Maryja nie pomagała zbawić świata" – głosi nota watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary. Według najnowszych ustaleń papieskich speców od zbawienia, można ją odtąd tytułować „Matką duchową" czy „Matką wiernych", ale tytuły „Współodkupicielka" i „Pośredniczka" uznano za nieodpowiednie, ponieważ „Odkupiciel jest tylko jeden". „Ten dokument niektórym się nie spodoba" – przyznał kardynał Victor Manuel Fernández, prefekt Dykasterii Nauki Wiary. Nie spodobał się też w Polsce, mimo że dyżurny świecki teolog Tomasz Terlikowski od razu ogłosił, iż watykański dokument bardzo go cieszy: „Cieszy, bo przypomina, że jedynym źródłem łaski jest Jezus Chrystus, bo przypomina, że Matka Pana jest naszą siostrą w wierze, a nie wszechmocną wszechpośredniczką, że jest stworzeniem jak my wszyscy". Zaraz jednak odezwali się obrońcy tradycyjnego kultu maryjnego, który od wieków traktuje Matkę Boską jak trzecią osobę Trójcy, ważniejszą niż mało popularny Duch Święty. Ich zdaniem, kard. Fernández chciał się podlizać protestantom. „Kochana Matuchno, wybacz swoim wygodnym synom, że odarli Cię z udziału w Odkupieniu" – modli się jeden z oponentów Terlikowskiego.

CO TUSZUJĄ ZAKONNICE

Jedna z sióstr podsyłała tym zboczeńcom dzieci. Pięcioletnia dziewczynka po gwałcie dostała od zakonnicy pieluchę, żeby nie krwawiła, po czym została odesłana na lekcję" – pisze w swojej książce „Zakrystia" Artur Nowak. Onet Kultura streszcza jej fragmenty, zachęcając do lektury. „Chcemy widzieć w nich pogodne i łagodne pingwiny, ale to prawdziwe potwory" – mówi o siostrach ksiądz, który długo pełnił posługę ich kapelana. Ale bohaterami „Zakrystii" są też księża. „Jeśli ktoś myślał, że o księżach wie już wszystko, na pewno się zdziwi. Szantażowani przez kochanki i chłopaków na godziny, mobbingowani przez przełożonych duchowni odbierają sobie życie w kościele albo na plebanii. O swoich pragnieniach i drugim życiu nie mogą nikomu powiedzieć, przez co wikłają się w coraz większe kłopoty". Bójki, alkohol, sprytne przekazywanie władzy następcom, którzy zapewnią patronom miękkie lądowanie… Jesteśmy za tym, by książki Nowaka i Obirka trafiły na listę szkolnych lektur.

NIEGODNA ORZEKANIA

Ordo Iuris składa wniosek o usunięcie prof. Magdaleny Środy z komisji dyscyplinarnej na Uniwersytecie Warszawskim, orzekającej w sprawie socjologa, który chciał „zwalczać katotalibów". Rzecz dotyczy wpisów w mediach społecznościowych, opublikowanych przez wykładowcę UW, socjologa dr. hab. Jacka Kochanowskiego. W roku 2021 r. pisał on m.in.: „Płód to nie dziecko. Aborcja to zabieg. Masturbacja to świetna przyjemność. Seks w wiele osób jeszcze lepsza. Polscy biskupi są idiotami. Oto kilka naukowych twierdzeń. Każdego dowiodę". Gdyby napisał, że płód to dziecko, a aborcja to zabójstwo, nie spotkałyby go żadne nieprzyjemności. Płynąc pod prąd katolskiego mainstreamu, doczekał się skargi Ordo Iuris, że uchybił godności nauczyciela akademickiego. Gdy rzecznik dyscyplinarny UW umorzył postępowanie, zażalenie złożyło Ordo Iuris. I oto mamy najnowszy spór, czy prof. Środa jest godna zasiadać w gremium, które ma wydać wyrok. Gremium złożone wyłącznie z katotalibów byłoby miarodajne.

Stronę redaguje **Dorota Wróblewska**

eprasa.pl c170c7d41c

Diabelska zabawka dyrektorki

Najpierw Żołnierze Chrystusa, teraz dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 14 w Radomiu ostrzega przed diabelskim Labubu. Sprawą zajmie się kuratorium oświaty.

Labubu to chińska zabawka bijąca rekordy popularności i przykład, że nawet najgorsze badziewie można dobrze sprzedać przy pomocy celebrytów. Cena wyszczerzonego królika zależy od jego wielkości (7 do 58 cm) i tego, czy pochodzi z serii limitowanej. Waha się od 200 zł nawet do 2,5 tys. zł za sztukę. Podróbka kosztuje 40 zł. Nawiedzeni religianci widzą w niej jednak „narzędzie diabła".

Zły duch

„(…) Wicedyrektor szkoły skierowała poprzez dziennik elektroniczny Librus – do wszystkich rodziców uczniów – informację dotyczącą chronienia dzieci przed lalką Labubu jako narzędziem diabła. Załączony do wiadomości Pani Dyrektor link pochodzi z portalu prowadzonego przez rzymskokatolickiego księdza (red.: ks. Mateusza Szerszenia), portalu silnie nacechowanego światopoglądowo, zawiera odniesienia do wiary w anioły i diabły" – informuje lubelska Fundacja Wolność od Religii (WOR).

Cytuje też fragment udostępnionego przez dyrektorkę Monikę Czubak materiału: „Dzieci obdarowane taką lalką zaczynają odczuwać dziwny ciężar w sercu, tracą chęć do modlitwy i stają się nerwowe. (…) One wpisują się w szeroki kontekst działania złego, który zawsze próbuje wejść przez to, co lekceważymy. Każdy przedmiot, który nosi w sobie inspirację demoniczną lub okultystyczną może stać się punktem zaczepienia dla złego ducha. Diabeł chętnie korzysta z mody, sztuki i popkultury, by w niepozorny sposób przenikać do domów i serc".

Lalka i konstytucja

Według WOR, wpis narusza aż dwa artykuły Konstytucji RP: art. 25 ust. 2 o bezstronności władz publicznych w sprawach przekonań religijnych i art. 48 ust. 1 o prawie rodziców do wychowania dzieci i nauczania moralnego oraz religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniami. Fundacja zwróciła się do dyrekcji SP nr 14 w Radomiu z prośbą o wyjaśnienia. Mimo obowiązku nałożonego ustawą o dostępie do informacji publicznej, odpowiedzi nie otrzymała. Pomogło dopiero „przedsądowe wezwanie do wykonania obowiązku". W odpowiedzi szkoła nie wykazała jednak nawet cienia skruchy. Powołując się na prawo oświatowe: „nauczanie i wychowanie – respektując chrześcijański system wartości – za podstawę przyjmuje uniwersalne zasady etyki". „Zatem przesłanie rodzicom linku z nagraniem księdza katolickiego nie stanowi naruszenia przepisów prawa. W celu ochrony dzieci, szkoła ma obowiązek korzystać z różnych źródeł informacyjnych (…)" – czytamy w piśmie SP nr 14 w Radomiu.

Fundacja WOR powiadomiła mazowieckiego kuratora oświaty nie tylko o tym, że dyrekcja szkoły indoktrynuje dzieci i rodziców. Wskazała też, że dyrektorka w ogóle nie organizuje w szkole lekcji etyki, a jednocześnie przedkłada rodzicom do podpisania oświadczenia o woli organizowania katechezy.

– Sprawa jest przez nas analizowana – mówi „FpM" Andrzej Kulmatycki, rzecznik Mazowieckiego Kuratora Oświaty.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Katolickie „szambo"

„Wprowadzanie Szatana do Kościoła", „zgnilizna", „wpływ zboczonego lobby", a także oskarżenia o pedofilię – takie reakcje katolików, na czele z Kają Godek, wywołała informacja o rekolekcjach dla rodziców dzieci LGBTQ+.

Mateusz Filipowski to karmelita bosy, który pracuje w ośrodku rekolekcyjnym w Gorzędzieju (woj. pomorskie), jest też duszpasterzem osób wykorzystanych seksualnie. Zakonnik ogłosił rozpoczęcie zapisów na rekolekcje (5-8.03.2026) dla rodziców dzieci LGBT+: homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych.

„(…) Chciałbym Was, drodzy rodzice, zaprosić na rekolekcje pt. Moje dziecko jest LGBT+. Po pierwsze i najważniejsze: Kocham Cię…" – napisał w mediach społecznościowych zakonnik. Do udziału w spotkaniach zaprosił też „drogie osoby homoseksualne i transpłciowe", by podzieliły się swoimi doświadczeniami w relacjach z rodzicami.

Homoseksualna herezja

Nie trzeba było długo czekać by szambo wybiło. „Herezja homoseksualna na wzór niemiecki już w polskim kościele! U karmelitów bosych!" – ogłosiła na portalu X działaczka katolicka Kaja Godek. W obszernym wpisie skrytykowała plakat zapowiadający wydarzenie, a język, w jakim została podana informacja, nazwała „lewacką nowomową" i „homoseksualną propagandą". „Tylko ktoś o skłonnościach pedofilskich widzi dziecko jako istotę seksualną. Czy tak postrzegają dzieci rekolekcjoniści z Gorzędzieja?" – zapytała, by zaraz skrytykować wyznanie dziecku LGBT „kocham Cię".

„Kocham znaczy przede wszystkim: dbam o zbawienie dziecka. W tym miejscu rodzi się we mnie bunt: dlaczego ja, świecka kobieta, muszę tłumaczyć takie sprawy ojcu karmelicie? Przecież powinno być odwrotnie. (…) Żeby dziecko zostało zbawione, to musi poznać, jaka jest różnica między dobrem a złem, rozwijać w sobie dobro i zwalczać zło. Nie wolno mu przedstawiać zła w miłych, sympatycznych słowach (…)" – pouczała zakonnika Godek. Na koniec oskarżyła o herezję i publiczne zgorszenie cały zakon Karmelitów Bosych.

Zboczone pieniądze

Post natychmiast podchwycili podobni jej katolicy: „Zgnilizna lpg weszła do Kościoła katolickiego i trzeba bardzo uważać", „Ciekawe, czy tam, u karmelitów, nie zapuścili swoich macek jacyś lobbyści z grubymi walizkami brudnych zboczonych pieniędzy", „Nie rozumiem dlaczego, jako katolicy, godzimy się na jawne wprowadzanie Szatana do naszego Kościoła?! Czy nie można z tym zgłosić się do wyższej instancji?!! Przecież to skandal! Ten człowiek powinien być ekskomunikowany!", „Swąd szatana czuć już wszędzie. Przegrywamy tę walkę o normalność…" – pisali.

Fala hejtu, jaka zalała Filipowskiego, była tak duża, że zdecydował się na wydanie specjalnego oświadczenia, w którym poinformował, że ze względu na dobro kilkudziesięciu rodziców, którzy już zgłosili się na rekolekcje, zmienia ich miejsce. Podziękował też wszystkim, którzy go wsparli.

„Przemoc zaprasza do przemocy. Zaprzeczyłbym swojej duchowej drodze, gdybym poddał się tej logice. (…) Wobec doświadczanej przemocy doszło do mnie w całej namacalności osobistego przeżycia, jak trudne musi być codzienne życie osób homoseksualnych, biseksualnych, transpłciowych oraz ich rodziców, którzy doświadczają tego wszystkiego w swojej codzienności. Gdybym miał czegoś takiego doświadczać nieustannie w Kościele, myślę że nigdy w tym Kościele nie chciałbym pozostać" – napisał zakonnik.

Wanda Kwiecień

Sawa w składzie porcelany

Metropolita Sawa, zwierzchnik polskich prawosławnych, odwołał nagle z funkcji kierowniczej ks. Michała Niegierewicza, wieloletniego proboszcza hajnowskiego soboru.

Niegierewicz trzy dekady był proboszczem jednej z największych świątyń w województwie podlaskim. I zgodnie z cerkiewną tradycją, mógł nim być do ukończenia 75. roku życia, a więc jeszcze roczek. Co się takiego wydarzyło, że Sawa nic stąd, ni zowąd pozbył się jednego ze swoich najbardziej zaufanych ludzi?

Odpowiedź jest prosta: nic takiego. Niegierewicz miał swoje wady, ale nie na tyle wielkie, żeby z dnia na dzień przenieść go do Białowieży i zrobić rezydentem miejscowej parafii. Najbardziej żenujący jest fakt, że stało się to ledwie kilka dni po tym, jak pochował swoją ukochaną żonę. Żeby było jeszcze ciekawiej, podobno Niegierewicza na stanowisku proboszcza zastąpi… biskup Paweł. To hajnowski, tytularny ekscelencja, jeden z osobistych wikariuszy Sawy. Nie jest z tego powodu najszczęśliwszy, ale co ma robić?

Coraz bardziej schorowany 87-letni monarcha kościelny działa pod wpływem impulsów i szeptanek kilku duchownych intrygantów, jakich ma wokół siebie w okolicach warszawskiej katedry prawosławnej na Pradze. Co jeszcze przyjdzie mu do głowy? Nawet Bóg niekoniecznie raczy wiedzieć…

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl c170c7d41c

Logika stworzenia

No więc jest tak: bóg istnieje, to fakt. Świat został stworzony w jego umyśle, to też fakt. I mamy na to dowody.

Pewnego dnia bóg się obudził i pomyślał: „okropnie dziwnie jest w tej rzeczywistości, czarno, pusto, cicho”. I tak myśląc zaczął stwarzać wszechświat, galaktyki i Ziemię – rzecz jasna w samym środeczku tego wszystkiego. A potem raj na zachodzie tej ziemi, a w nim najpierw Adama (tak ślicznego jak on sam) i Ewę. Z Ewą mu nie wyszło, bo zaczęła myśleć samodzielnie, ale ukarał babę i do dzisiaj ma za swoje. Żeby potomkom Ewy nieco namieszać (Adam był swój chłop), bóg porozrzucał po świecie kości dinozaurów, podłożył meteoryty, wypuścił zarazki, a na dodatek spuścił ze smyczy śmierć. I jeszcze swojego synka posłał na stracenie, żeby… ludzi zbawić.

Dowody cudów

I tyle w temacie. Są na to dowody w postaci licznych cudów. Ileż to razy już czy to sam Jezus, czy matka jego objawiali się ludziom? A jeszcze bóg w swej dobroci całun turyński wysłał, żeby każdy niedowiarek mógł zobaczyć, jakim pięknym częstochowianinem był Jezus Chrystus!

Chociaż z tą Częstochową to trzeba uważać, w piśmie wszak napisane jest, że przemawiał do ludzi z Łodzi. Więc może jego mama jednak z Łodzi była, przez co i on jest łodzianinem? Ale to na pewno jakiś uczony w piśmie z uniwersytetów katolickich wcześniej czy później rozstrzygnie. Tymczasem wiemy, że Całun Turyński jest prawdziwy.

Badacze dowodów

Profesor Otangelo Grasso, brazylijski badacz-kreacjonista przebadał Całun Turyński i postanowił otworzyć oczy niedowiarkom. Jak wiadomo bowiem, całun ten sam bóg człowiekowi podarował, umieszczając go sprytnie około 1353/57 roku w kościele parafialnym w Lirey, niewielkiej miejscowości w Szampanii. A dokładniej, do tego kościoła – rzecz jasna za namową boga – przyniósł całun niejaki Geoffroy de Charny, pan na włościach Lirey, Savoisy i Montfort, rycerz. Całun nie poniewierał się gdzieś, nie wiadomo gdzie, nikt go nie wygrzebał z ziemi, z żadnej krypty nie wyszarpał, tylko szlachetny rycerz wniósł go do kościoła. Czyż to nie dowód, potwierdzający świętość całunu?

Ale synowie i córy tej sekutnicy Ewy, co to wolała wiedzieć niż nie wiedzieć, dalej wątpią. Dlatego do boju stanął Otangelo Grasso, naukowiec o określonej już renomie. Na co dzień zajmuje się teorią kreacjonizmu Młodej Ziemi i Teorią Inteligentnego Projektu zakładającymi, że za pochodzeniem życia i wszechświata stoi jakaś inteligencja. Z całunu wyczytał, że korona cierniowa była pierścieniem, a Jezus umarł dokładnie tak, jak to zostało opisane w ewangeliach. Wszystko się zgadza, krew nie kłamie. Kolejny raz bóg chuchnął i wszystko się ułożyło jak trzeba.

Szlachetny uczony nie jest jedynym, który stanął w obronie dzieła bożego. Paolo Di Lazzaro udowodnił, że obraz na całunie musiał powstać wskutek nagłego, bardzo krótkiego i intensywnego impulsu energetycznego (promieniowania, być może w zakresie UV) o mocy mierzonej w gigawatach na centymetr kwadratowy. Jest to, rzecz jasna, dowód nadprzyrodzonego powstania wizerunku. Przecież tylko ciało Jezusa mogło samo dla siebie stać się rentgenem i jeszcze odcisnąć się na całunie w który zostało owinięte.

Kolejny uczony Pierluigi Baima Bollone (specjalizujący się w medycynie sądowej i hematologii) potwierdził obecność na materiale krwi ludzkiej grupy AB. Wskazał też na ślady odpowiadające surowicy krwi (albumina) i produktu degradacji (np. ferrytyna, kreatynina), które, według niektórych badaczy, świadczą o torturach i śmierci wskutek dużej traumy (związek ferrytyny i kreatyniny może wskazywać na intensywny rozpad mięśni i białek w wyniku tortur). I to jest dopiero dowód, bo przecież wiemy, że Jezus przed śmiercią przeszedł koszmarne tortury.

Są też i tacy badacze (Raymond Rogers), którzy wyjaśniają, że próbka do badań C14 (na podstawie której datowano całun i określono jego średniowieczne pochodzenie) została wzięta z miejsca, gdzie do całunu dosztukowano bawełnianą łatę podczas średniowiecznych napraw, co zanieczyściło i odmłodziło próbkę.

Trendy badań

Można zauważyć, jak w nauce zrodził się cały trend jedynie-słusznych-badań, gdzie wykazuje się, że Jezus świecił jak broń atomowa, miał grupę krwi AB, był torturowany, był ogromnym facetem z brodą i długimi blond włosami, a materia całunu była tak zabrudzona i połatana, że pochodziła z XIII, czyli XVII wieku, co oznacza, że przy dobrym datowaniu ma 2000 lat. Pewne to i prawdziwe jak dzieło stworzenia świata.

Bogu niech będą dzięki za logikę i rozum! Jezus był, cierpiał i umarł, tylko dokładnie nie wiemy, czy on sam wierzył w boga (a jeżeli tak, to którego). No i czy wiedział, że jest Jezusem? Nie ma sensu zmagać się z całym tym problemem, grunt, że ludzie wierzą i dają na tacę.

prof. Joanna Hańderek

Ekoksiądz i RODO

Ksiądz z parafii św. Anny w Wartkowicach znalazł sposób na utrzymanie porządku na cmentarzu. W parafialnej gablotce publikuje zdjęcia osób, które śmiecą. Słusznie?

Ksiądz Janusz Szeremeta z parafii św. Anny w Wartkowicach pod Łodzią w połowie września ogłosił, że kamera monitoringu zainstalowana przy cmentarzu zarejestrowała osoby nieszanujące porządku. Zamiast wynieść śmieci z nekropolii do kontenera za ogrodzeniem (na terenie udostępnionym przez gminę), próbują przerzucać odpady przez płot. Nie trafiają do kontenera i tak je zostawiają.

„Tożsamość ich jest nam znana. Jeżeli sytuacja się nie poprawi, to udamy się do osób tak postępujących i poprosimy ich o posprzątanie śmieci. Pozdrawiamy panią, która 8 września o godz. 14.02 przerzuciła wkład do znicza przez płot i oczywiście nie trafił do kontenera” – napisał w ogłoszeniach parafialnych ksiądz.

Jeden z naszych Czytelników wskazuje, że ogłoszenie publicznie upokorzyło wskazaną parafiankę i naraziło ją na ostracyzm społeczny. W tej sprawie do kurii miała nawet trafić skarga na księdza. Ten jednak nie tylko nie zaniechał pomysłu, ale zapowiedział, że pójdzie o krok dalej.

„Od dzisiejszej niedzieli w gablocie parafialnej – z zachowaniem wszelkich praw – rozpoczynamy publikację zdjęć osób, które wyrzucają śmieci obok pustego kontenera stojącego przy cmentarzu, jak też przywożą i wrzucają do tego kontenera swoje domowe śmieci. Na rozgrzewkę jest wywieszone zdjęcie, jak nieznana kobieta wyrzuca śmieci obok pustego kontenera. (…) Jeszcze raz prosimy, aby do kontenera nie wrzucać ciężkich, granitowych wazonów oraz kostki brukowej. Tych, którzy to uczynili, prosimy o ich zabranie do siebie. Jeśli to nie nastąpi, możemy sięgnąć po radykalniejsze środki” – zagroził podczas kolejnej mszy ksiądz.

– Publikacja wizerunku bez zgody zainteresowanego to jawne naruszenie przepisów RODO i dóbr osobistych. Publikacja zdjęcia w gablocie nie ma podstawy prawnej. Gdyby śmiecenie dawało taką podstawę, wszystkie miasta miałyby taką stronę „hańby” – mówi nam anonimowo mieszkaniec Wartkowic.

Proboszcz Szeremeta obstaje jednak przy swoim.

– Wskazujemy tylko tych, którzy nam rzucają śmieci obok kontenera, a na ujęciach twarz jest zamazana, albo osoba jest pokazana od tyłu czy bokiem – tłumaczy się w rozmowie z „Dziennikiem Łódzkim”. I wskazuje, że kamera została zainstalowana z bezsilności wobec osób, które mimo tabliczek informujących o nakazie sprzątania i tak rzucały śmieci obok kontenera. Ksiądz zapowiada, że z pomysłu się nie wycofa. – Założenie kamery, a potem publikacja zdjęć sprawiły, że ludzie zaczęli bardziej dbać o czystość wokół kontenera – podsumowuje.

A straszenie publikacją zdjęć jest bardziej humanitarne od straszenia piekłem lub którąś z plag egipskich…

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Duchy lubią pieniądze

Policealne Studium Ikonograficzne w Bielsku Podlaskim, niepubliczna policealna szkoła podległa polskiej Cerkwi, istnieje od 1991 r. Skandal, który wybuchł ostatnio, może skrócić jego żywot.

Jak nam doniosły wiewiórki, szkołę nagle zamknięto „do odwołania”, bo okazało się, że część kadry pedagogicznej i administracyjnej to były duchy. Duchy miały konta w banku, na które przelewano co miesiąc pensje, ale w ogóle nie przychodziły na zajęcia, chyba że zjawiały się, jak to duchy, w sposób niewidzialny dla słuchaczy szkoły.

Kasa na wykształcenie wyjątkowych na polskim rynku „pisarzy” ikon szła z czesnego, samorządowych dotacji oraz datków parafian. Musiały być to spore pieniądze, gdyż, jak słyszymy, kadra w studium była ubogacana pensją sporo powyżej średniej krajowej. Smaczku historii dodaje fakt, iż twórcą i wieloletnim dyrektorem studium był osobisty kolega zwierzchnika polskiego Kościoła prawosławnego Sawy jeszcze z czasów seminarium duchownego ks. Leoncjusz Tofiluk. W tym roku Tofiluk odszedł z honorami na emeryturę, porzucając zarówno szkołę, jak i funkcję proboszcza cerkwi pw. Michała Archanioła w Bielsku Podlaskim, przy której funkcjonuje studium. Jest raczej mało prawdopodobne, żeby nie zdawał sobie sprawy, co tam się działo.

Nowy proboszcz ks. Jan Barszczewski, który zadecydował o zamknięciu szkoły, to też ciekawa postać. Dekadę temu miał proces, po tym jak po pijaku pobił swojego sąsiada, kumpla od kieliszka. Ale teraz „to już inny człowiek”. Nadzór nad szkołami takimi jak ta, prowadzi Podlaskie Kuratorium Oświaty. Ciekawe, czy jej inspektorzy czytają „FpM”?

Wacław Jerzy Koniecpolski

eprasa.pl c170c7d41c

Pytania dotyczące Biblii (215)

Wojny arabsko-izraelskie(1)

Naród żydowski przetrwał wielowiekowe wygnanie z ojczystego kraju, rozproszenie po całym świecie i prześladowania trwające aż do XX wieku, kiedy to Hitler postanowił wymordować wszystkich Żydów.

Wiadomo jednak, że wroga polityka wobec Izraela nie zakończyła się wraz ze śmiercią Hitlera. Od powstania Izraela w 1948 r. była bowiem nadal kontynuowana, a głównymi jego wrogami okazały się kraje arabskie oraz organizacje terrorystyczne, które swe zdolności bojowe przejęły od hitlerowców, którzy szkolili arabskich ekstremistów do działań terrorystycznych.

Pierwszy atak arabski

Przypomnijmy, że już w kilka godzin po tym, jak premier Dawid Ben Gurion ogłosił powstanie Państwa Izrael, kraj ten został zaatakowany przez pięć arabskich państw: Egipt, Jordanię (Transjordanię), Syrię, Liban oraz iracki korpus ekspedycyjny. Izrael, liczący zaledwie 650 tysięcy obywateli, musiał więc przeciwstawić się przeważającym siłom wroga. Mimo to, mimo olbrzymiej przewagi agresora, koalicja państw arabskich poniosła klęskę. I dopiero po porażce poniesionej 13 stycznia 1949 r. strona arabska zmuszona została podpisać rozejm z Izraelem.

Konflikt sueski

Niestety, wrogość wobec państwa izraelskiego umacniała się z każdym dniem, a jego zniszczenie było jednym z głównych celów Arabów. W nienawiści tej w niemałym stopniu utwierdzał ich wcześniejszy europejski antysemityzm, a także przetłumaczone na język arabski „Protokoły mędrców Syjonu". Nic zatem dziwnego, że już w 1950 r. państwa arabskie ogłosiły bojkot wszystkich przedsiębiorstw na świecie, które utrzymywały stosunki handlowe z Izraelem. Od 1950 r. nasiliły się także ataki fedainów, którzy z egipskiej Strefy Gazy zaczęli przenikać na terytorium Izraela i napadać na żydowskie osady. Wskutek tych ataków w latach 1950-1956 zginęło 400 Izraelczyków, a ponad 900 zostało rannych.

Kiedy zaś w 1956 r. prezydent Egiptu Gamal Abdel Naser zamknął Kanał Sueski dla okrętów izraelskich, doszło do otwartego już konfliktu, ponieważ kanał ten został zbudowany przez Francję i Wielką Brytanię i zgodnie z postanowieniem Konwencji Konstantynopolitańskiej z 1888 r. miał być dostępny także dla statków z innych krajów. Chcąc zatem odzyskać swobodę żeglugi, Francuzi i Brytyjczycy postanowili zaatakować Egipt z pomocą Izraela. Operacja ta rozpoczęła się 29 października 1956 roku i zakończyła całkowitą klęską Egipcjan. Ponieważ jednak Rosjanie i Amerykanie wezwali wszystkich uczestników konfliktu do odwrotu i zagwarantowali otwarcie kanału dla wszystkich, również dla izraelskiej żeglugi, Izrael wycofał się z podbitych terenów w 1957 r.

Wojna sześciodniowa

Jednak już wkrótce po przegranej wojnie Naser i sprzymierzone z nim kraje arabskie zaczęły przygotowywać się do kolejnej wojny oraz ostatecznego zniszczenia Izraela. Dlatego również tę wojnę, zwaną wojną sześciodniową, należy uznać za sprowokowaną przez państwa arabskie. Była ona bowiem następstwem wielu dramatycznych okoliczności: 1) zerwania warunków zawieszenia broni z 1949 r., 2) nieustannych ataków fedainów na ludność żydowską, 3) ostrzeliwania osad żydowskich przez syryjską artylerię z rejonu Wzgórz Golan, które rozpoczęło się w 1958 r., 4) powstania 25 maja 1964 r. Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP), która od razu zakwestionowała państwowość Izraela i jednocześnie wezwała siły arabskie do wyzwolenia Palestyny spod okupacji izraelskiej, 5) nieustannych ataków arabskich terrorystów oraz syryjskich ostrzałów żydowskich kibuców, z naruszeniem izraelskiej przestrzeni powietrznej przez samoloty syryjskie, które 7 kwietnia 1967 r. zostały zestrzelone przez Izraelczyków, 6) propagandy Związku Radzieckiego, według którego Izrael mobilizował się do walki z Syrią i Egiptem, 7) i wreszcie, wycofania przez ONZ oddziałów „niebieskich beretów" z Synaju na prośbę prezydenta Egiptu Nasera. Bo już 15 maja 1967 r. Synaj opanowany został przez jednostki armii egipskiej oraz armii ościennych krajów arabskich, które gotowe były do ataku 5 czerwca, a więc w dniu, w którym nastąpił również atak Jordańczyków na Izrael, gwałcąc tym samym wcześniejsze izraelsko-jordańskie porozumienie o zawieszeniu broni.

Wroga polityka wobec Izraela nie zakończyła się wraz ze śmiercią Hitlera. Od powstania Izraela w 1948 r. była nadal kontynuowana, a głównymi jego wrogami okazały się kraje arabskie oraz organizacje terrorystyczne.

Innymi słowy, Izraelczycy zmuszeni byli się bronić i przejść do ofensywy, dzięki której zniszczyli najpierw egipskie lotnictwo, następnie opanowali Synaj, Wzgórza Golan i odpierając atak Jordańczyków, zdobyli wschodnią część Jerozolimy ze Ścianą Płaczu, która jest pozostałością po świątyni zniszczonej w 70 r. przez Tytusa.

Zwycięska wojna z przeważającymi siłami wroga trwała zaledwie sześć dni, po czym Izrael zaproponował sąsiednim krajom arabskim negocjacje pokojowe. Niestety, zostały one odrzucone, a Izrael uznany za agresora, również przez Narody Zjednoczone, które w tym czasie znajdowały się pod silnym wpływem ZSRR.

Paradoksalnie więc Związek Radziecki, który w 1947 r. na forum ONZ poparł powstanie Państwa Izrael i wraz z USA w 1948 r. uznał jego państwowość, z czasem, z powodów *stricte* politycznych (sojuszu Izraela z USA) i gospodarczych (złóż ropy naftowej), stał się sprzymierzeńcem państw arabskich.

Nic zatem dziwnego, że w tych okolicznościach państwa arabskie nie tylko nie zgodziły się na negocjacje pokojowe z Izraelem, ale także kategorycznie zakwestionowały istnienie Państwa Izrael, podkreślając, że takie prawo posiadają wyłącznie Palestyńczycy.

Wprawdzie – po uchwaleniu 22 listopada 1967 r. przez Radę Bezpieczeństwa ONZ rezolucji 242, która zobowiązywała Izrael do wycofania się z terytoriów okupowanych, a państwa arabskie do uznania Izraela w ustalonych granicach – Izrael, Egipt i Jordania przyjęły tę rezolucję. Jednak Syryjczycy i Palestyńczycy ją odrzucili. Dlatego też w kolejnych latach aż do 1973 roku stale dochodziło do lokalnych konfliktów między Żydami i Arabami oraz do nasilających się akcji terrorystycznych organizowanych przez ugrupowania OWP.

Wojna Jom Kipur

Po tak spektakularnym zwycięstwie Izraelczycy czuli się bezpieczni. W Izraelu zapanowała więc ogólna euforia i złudne poczucie siły. Jednakże w tym właśnie czasie, kiedy czujność jego mieszkańców była uśpiona, Związek Radziecki stale dozbrajał bliskowschodnich sprzymierzeńców. Izraelska Rada Ministrów zaniedbała nawet doniesienia swoich służb wywiadowczych z początku października 1973 r. o koncentracji oddziałów syryjskich i egipskich.

Otrzeźwienie nastąpiło dopiero, kiedy w największe święto żydowskie Jom Kipur 6 października 1973 r. o świcie nastąpił atak Egipcjan i Syryjczyków. Zaskoczeni Izraelczycy ponieśli więc ogromne straty. Mimo to, dzięki wsparciu zbrojnemu Amerykanów, ostatecznie odparli syryjskie i egipskie odziały, które z kolei nieustannie wspierane były militarnie przez Sowietów. Oba też te mocarstwa wpłynęły na zakończenie wojny. Istniała bowiem obawa, że może ona rozszerzyć się również na sąsiednie kraje. I tak na mocy rezolucji nr 338, uchwalonej przez Radę Bezpieczeństwa ONZ, 22 października 1973 r. na granicy między Egiptem i Izraelem ponownie rozlokowane zostały rozjemcze oddziały – „niebieskie berety".

Ale od tej pory kraje arabskie tym bardziej uwierzyły w swoje możliwości pokonania Izraela. Zaczął się więc nasilać terror organizacji palestyńskich z Organizacją Wyzwolenia Palestyny, której przewodniczył Jaser Arafat, na czele.

Bolesław Parma

eprasa.pl c170c7d41c

Spod kardynalskiego kapelusza

Oblicza Kościoła w Czechach

W szpitalu wojskowym w Pradze 4 listopada zmarł emerytowany metropolita Pragi, długoletni przewodniczący czeskiego episkopatu i prymas Czech kard. Dominik Jaroslav Duka. 15 listopada w archikatedrze praskiej odbyły się uroczystości pogrzebowe hierarchy.

Śmierć emerytowanego prymasa Czech stała się okazją do przypomnienia nie tylko sylwetki tego popularnego kardynała, ale także dyskusji nad obecną kondycją Kościoła katolickiego u naszych południowych sąsiadów.

Od Jaroslava do Dominika

Jaroslav Václav Duka przyszedł na świat 26 kwietnia 1943 r. w Hradcu Kralove (Hradec Králové), kiedy w całej Europie szalała wojna. W obozach śmierci dymiły kominy krematoriów, a ojczyzna przyszłego kardynała znajdowała się w silnym politycznym i militarnym uścisku Adolfa Hitlera i jego koalicjantów. (Jaroslav został Dominikiem dopiero po wielu latach).

Po roku 1945 Czechosłowacja znalazła się z kolei w politycznym uścisku Józefa Stalina. Jaroslav Václav wychowywał się więc i dorastał w komunistycznej rzeczywistości. Jego ojciec walczył z faszyzmem, ale jako żołnierz armii czechosłowackiej stojącej po stronie zachodnich aliantów, a nie „bratnich" oddziałów zwycięskiego wąsatego wyzwoliciela ze wschodu. Po powrocie do kraju musiał przez wiele lat odpokutowywać ten „polityczny błąd" w czechosłowackich więzieniach, co oczywiście odbiło się także na jego synu. Jaroslav Václav nie mógł z tego powodu studiować, jak rówieśnicy; po maturze pracował jako ślusarz. Później odbył obowiązkową służbę wojskową w jednostce dla niepokornych rekrutów i dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat rozpoczął formację w seminarium duchownym św. Cyryla i Metodego w czeskich Litomierzycach (Litoměřice). Trzy lata później podjął decyzję o wstąpieniu do nielegalnego nowicjatu czeskiej prowincji ojców dominikanów. Tam otrzymał zakonne imię Dominik, pod którym znał go cały katolicki świat.

Od zakonnika do kardynała

Rzeczywistość Kościoła katolickiego w komunistycznej Czechosłowacji w niczym nie przypominała tej, jaką znamy z Polski. Księża pracowali nielegalnie lub na wpół legalnie i w każdej chwili byli narażeni na dotkliwe kary za udzielanie posług religijnych. Wyświęcony na kapłana w 1970 r. młody Dominik Duka już po pięciu latach kapłaństwa, jako mistrz dominikańskiego nowicjatu, został zmuszony przez władze państwowe do pracy konspiracyjnej. Sześć lat później trafił za to do więzienia, gdzie poznał wielu opozycjonistów, a wśród nich Václava Havla.

W 1986 r. został prowincjałem zakonu, ale dopiero po upadku komunizmu w Czechosłowacji i ostatecznym rozpadzie kraju na Czechy i Słowację rozpoczął budowę struktury prowincji dominikanów na terenie Czech i Moraw. 6 czerwca 1998 r. papież Jan Paweł II – któremu wszyscy prześladowani księża z krajów dawnego bloku wschodniego byli niezwykle bliscy – mianował prowincjała dominikanów Dominika Dukę ordynariuszem diecezji w jego rodzinnym Hradcu Kralove. Od 2004 do 2008 r. administrował także diecezją z siedzibą w Litomierzycach. 13 lutego 2010 r. papież Benedykt XVI podniósł go do godności arcybiskupa i zamianował metropolitą praskim i prymasem Czech. Dwa lata później otrzymał z jego rąk godność kardynalską.

Od zachwytu do refleksji

Poznałem prymasa Czech, gdy był już znanym kardynałem. Nasze długie rozmowy o sytuacji Kościoła katolickiego w komunistycznej Czechosłowacji zapamiętam na zawsze. Odnosiłem wtedy wrażenie, że jest dla Kościoła w swojej ojczyźnie tym, kim dla nas był prymas Polski kard. Stefan Wyszyński.

fot. Wikipedia

Kilka lat później na konferencjach naukowych poznałem innego wyjątkowego człowieka Kościoła czeskiego ks. Tomasa Halika (Tomáš Halík), który zrobił na mnie i innych uczestnikach naszych debat i paneli dyskusyjnych niezwykłe wrażenie. Był równie boleśnie doświadczony w czasach komunistycznych jak prymas Czech, ale równocześnie niezwykle odważnie spoglądał nie tylko na kwestię samej religii, ale i człowieka we dzisiejszej Europie. Otwarty na mniejszości seksualne, posługę kobiet we współczesnym Kościele; niezwykły intelektualista łączący kwestie wiary z szacunkiem do innych religii, światopoglądów czy systemów wartości.

Całkiem niedawno dowiedziałem się, jak bardzo w ostatnich latach ci dwaj wybitni przedstawiciele tego samego Kościoła w Czechach ścierali się na różnych płaszczyznach swojej duszpasterskiej i intelektualnej aktywności.

Kardynał okazał się człowiekiem mocno uwikłanym w politykę, jawnie popierał prawicowe partie, z biegiem lat coraz bardziej przechodził do obozu przeciwników lub co najmniej sceptyków Unii Europejskiej. (Dziwiło mnie to, bo poznaliśmy się na konferencjach organizowanych przez środowiska katolików związanych z europejską chadecją). Nie potrafił uporać się z takimi samymi grzechami co polscy biskupi. Pedofilia duchowieństwa, nieformalne lobby gejowskie w szeregach czeskiego kleru czy pazerność finansowa nigdy go nie raziły, bo dla niego zawsze ważniejsze było dobre imię instytucji Kościoła niż prawda czy wartości wynikające z miłości bliźniego i Ewangelii. Zupełnie tak, jak dawniej hipokryzja i zakłamanie naszego papieża Jana Pawła II.

Od miłości do polityki

Tymczasem działalność ks. prof. Tomasa Halika charakteryzowała się otwartością na innych ludzi, także tych, będących od lat poza Kościołem, w tym niewierzących. Jego publiczne starcia z prymasem Czech zawsze były głośno komentowane w mediach, a aktywność na gruncie duszpasterskim wysoko ceniona nie tylko w rodzimym kraju.

Całkowicie rozeszły się też ich drogi w kwestiach bieżącej polityki. Zmarły prymas jawnie popierał czeską prawicę, był przeciwny społeczności LGBT+, ale równocześnie nie zwalczał grzechów w szeregach swojego duchowieństwa. W ostatnich latach dołączył do nieformalnych sympatyków agresji W. Putina na Ukrainę. Ksiądz prof. Tomas Halik potraktował to jako „kompromitację Kościoła". Przykładem może być choćby wypowiedź zmarłego kardynała, który w nieudolny sposób bronił niedawno gwałty i morderstwa rosyjskich żołdaków w Ukrainie: „Trzeba wziąć pod uwagę, że sprawca, członek sił zbrojnych, jest często także ofiarą najsilniejszych emocji i namiętności, gdy horror walki, strach i nienawiść napędzają go do poziomu swego rodzaju amoku. Zabija bez zastanowienia i niszczy wszystkie żywe istoty i wszystkie wartości" – tłumaczył.

Nie można się więc dziwić, że w ostatnich latach ten coraz bardziej radykalizujący się czeski kardynał stawał się ulubieńcem polskich biskupów. Był często zapraszany do naszych diecezji, gdzie w publicznych wypowiedziach wpisywał się w skrajnie prawicową narrację europejskiej polityki.

Te dwa oblicza czeskiego Kościoła warto podsumować przytaczając dane statystyczne. Społeczeństwo czeskie, w przeciwieństwie do polskiego, zawsze było mocno zlaicyzowane i antykościelne, ale to, co nastąpiło tam w ostatnich dwóch dekadach, jest kościelną katastrofą. Z najnowszych badań i sondaży wynika, że zaledwie dwóch na dziesięciu mieszkańców Czech przyznało się do formalnej przynależności do któregoś z kościołów. Ośmiu na dziesięciu zdeklarowało się jako ateiści lub agnostycy. Katolicy liczbowo nieznacznie przewyższają protestantów, ale stanowią obecnie zaledwie ok. 12 proc. populacji kraju. Zaś spośród nich do kościołów regularnie uczęszcza nieznaczny odsetek i są to głównie osoby starsze.

I to jest ta prawda, o której powinno się wspomnieć nad trumną zmarłego Księdza Prymasa.

Andrzej Gerlach

eprasa.pl c170c7d41c

Nr 47 (271) 21-27.11 2025 r. F!

Z torsu pisowskiego wyrasta: a) główka anielska?; b) czerep rubaszny?

Bachus a sprawa polska

Prezydent PiS i Konfederacji, z których ponoć się składa naród polski, „ten właściwy", przemówił z oratorskim ferworem 11 listopada.

Jak już wiadomo z uprzednich celebracji tej daty, jest to święto „polskiego mordobicia patriotyczno-niepodległościowego". W najbardziej strzelistych jego obchodach, w latach 2011-2014 i 2020, na bruk chlapnęła nawet krew, lecz „było jej niewiele, może z pół szklanki" (jak w takich sytuacjach mawiał Michaił Zoszczenko). Tak czy inaczej, polskie Święto Niepodległości, rozkiełznało się do miary bachanalii.

Chwała zniewolonym!

Bachiczna zaś aura skłania do gromowładności mówczej. W swej oracji na placu Piłsudskiego Nawrocki sypnął w chciwie wsłuchujących się w dar jego wymowy arcypolskich Polaków – sam wszak w porywie oratorskim dopytywał, czy „jest tu naród polski" i uzyskiwał krzykliwe potwierdzenie od zgromadzonej gawiedzi – garścią prezydenckich przejrzeń. Mówił o historii, sięgał do literatury, politykował.

Oto wyimki z jego myśli pozłacanych. W okresie zaborów – powiada Nawrocki – „pięć pokoleń" walczyło w powstaniach przeciw zaborcom, aby utwierdzić „jestestwo" polskie: przywiązanie do tradycji i wiary naszej katolickiej, do polskości „ponad wszystko". Tyle że tradycja, wiara i polskość w wieku XIX, okresie przyspieszonej modernizacji w Europie, nieszczególnie prezentowały się na jej tle. Tradycja wyjawiała się jako rytualne wstecznictwo, wiara jako dewocja, polskość jako bohaterszczyzna i lenistwo myślowe. Tę schedę Nawrocki ustawia w roli drogowskazu dla Polski XXI w. Ale wtedy banał i stereotyp przytłaczają próbę głębszej refleksji nad własną historią. Zamiast krytycznej samooceny – ta zaś z natury rzeczy wyprowadza na perspektywę unowocześnienia, innowacyjności i twórczej pracy – co najwyżej usypiają rzewną kontemplacją nad przegranymi zrywami albo tarmoszą do rozpamiętywania krzywd.

Chwała zapóźnionym!

11 listopada cały legion polskich tradycjonalistów, z Nawrockim na czele, adoruje Drugą RP. Stamtąd czerpie inspiracje: zwycięstwo nad bolszewikami (dziś: „raz sierpem, raz młotem w czerwoną hołotę"), kult wodzostwa (obecnie padanie plackiem przed Kaczyńskim, ale chyba już częściej przed Nawrockim), jedność moralno-polityczną „prawdziwych" Polaków (wtedy Obóz Zjednoczenia Narodowego, dzisiaj pisiorstwo). Nawrocki dodał do tego „ambicje i marzenia", jakie uskrzydlały Rzeczpospolitą międzywojenną. Urzeczywistniły się, jak podkreślił orator, w budowie Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego. Owe punktowe osiągnięcia, dzieło myśli i pasji organizatorskiej Eugeniusza Kwiatkowskiego, jednego z niewielu (niestety!) modernizatorów Drugiej RP, nie mogą przesłonić generalnego zapóźnienia ówczesnej Polski, co obnażyło się w turpistycznej okazałości we wrześniu 1939 r.

Chwała tradycjonalistom!

O czasach współczesnych Nawrocki rozprawiał w duchu demagogii. Pochylał się z troską nad codziennymi problemami polskich rodzin, szlochał nad kolejkami do lekarza i niepomiernym wzrostem cen w sklepach. Ale gdy w zapale narracyjnym doszedł do Unii Europejskiej, dymił i huczał niczym wulkan Krakatau. Nie może być tak – perorował – by „oddawano po kawałku polską wolność, niepodległość i suwerenność obcym instytucjom, obcym trybunałom i organom UE".

W przemówieniu Nawrockiego zawęźliły się te wszystkie supły myślowe, które cechują dyskurs nie tyle nawet prawicowy, co tradycjonalistyczny. Eksponują go dziś irańscy ajatollahowie, afgańscy talibowie oraz islamiści z Bliskiego Wschodu, Afryki i Azji. Tradycjonalistami byli ludożerca Bokassa i ludobójca Idi Amin Dada; tradycjonalistyczną treść niosły w sobie hitleryzm i stalinizm.

Polscy tradycjonaliści zawłaszczyli publiczną narrację o dziejach Polski i o tym, czym jest polskość. Platformersi potrafią tylko wydukać, że żyjemy na najlepszym ze światów (czyli w kapitalizmie i w UE) i niech tak trwa dalej; a co było, to było. Dla kontrastu warto zauważyć, jak często w przemówieniu Nawrocki odmieniał „polskość" i „polski" przez wszystkie przypadki. Cóż, kto w przestrzeni publicznej dyryguje dyskursem o historii, ten w dzisiejszej Polsce włada umysłami bodaj czy nie większości Polaków.

Czymże jednak jest „to, co nasze, co polskie" w rozumieniu tradycjonalistów? To, wedle Nawrockiego, przywiązanie do „tożsamości polskiej i polskich wartości". Za tym banałem, rzęsiście oklaskiwanym przez pisowsko-konfederackie pospólstwo, domyślać się należy blagi właściwej dla tradycjonalistycznego doktrynerstwa. Bo przecież nad wartościami „polskimi" straż wystawić musi władza paternalistyczna, obdarzona autorytetem i twardą ojcowską ręką. Która nie dopuści, żeby w gospodarce panoszyły się „niepolskie" zasady i mechanizmy, żeby krajową scenę polityczną zasiedlili bałamutnicy z „lewacko-pedalskiego" Zachodu (wyjąwszy oczywiście Donalda Trumpa), iżby szkoły w Polsce nauczały dziatwę „nie na polski ład". Zaś „niepolskie" jest to, czego tradycjonalista z patriotycznego ciemnogrodu nie rozumie i nie chce rozumieć. Czyli nowoczesność, wymóg chłonnego i kreatywnego umysłu, otwartości na świat i znajomości języków obcych. Koliduje to bowiem z jego obskuranckim rozumieniem „jestestwa" Polski.

I ten obskurantyzm, niemałej części Polaków głosujących na PiS i Konfederację, Nawrocki buja na kolanie, bajdurząc o polskości i „polskich obowiązkach". Rozdaje watę cukrową na patyku i inne odpustowe smakołyki, gdy piekli się na rozbiorców, zaborców i Unię Europejską oraz labiedzi o krzywdzie dziejowej zadanej przez obcych.

Chwała zemście!

Tradycjonalista rad byłby obecną, gnębioną przez demony zachodniego postmodernizmu, Polskę przeanielić w replikę Drugiej Rzeczpospolitej, z jej dyktaturą i sanacją, za którymi wtedy kłębili się oficersko-urzędniczo-ziemiańscy pogrobowcy Polski jagiellońsko-sarmackiej. Nie jest wykluczone, że zwiduje mu się spektakl heroiczno-męczeński, nawiązujący do 1939 r., aby rzucić na kolana (bo a nuż Ameryka Trumpa pomoże?) Teutona i Moskala. Aliści zemstę dziejową na Rosji i Niemczech odegrać nie tyle na polach bitew, ile w przestrzeni politycznej, zwłaszcza medialnej, jako symulakrum rewanżu i triumfu.

Właśnie choleryczne najazdy na UE w pisowskiej polityce i mediach symulują wojnę odwetową przeciw Republice Federalnej, która w mniemaniu pisowców uważa Unię za reinkarnację Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Dlatego w retoryce pisowskiej nasila się krytyka „oddawania po kawałku" suwerenności Polski w ręce UE, chociaż wiążąc się traktatami międzynarodowymi państwa nie wyzbywają się suwerennej podmiotowości, a tylko pewnych kompetencji z niej wynikających i czynią to w imię większych korzyści państwowych. Takie korzyści unaoczniły się wraz z kolejnymi gigantycznymi zastrzykami finansowymi dla Polski z unijnych funduszy strukturalnych i inwestycyjnych. Pisowcy zaś suwerenność utożsamiają z dowolnością robienia przez nich wszystkiego, co tylko strzeli im do łba.

Chwała głupocie!

Przemawiając Nawrocki przywołał słowa Juliusza Słowackiego o Polsce jako „pawiu i papudze" i natychmiast wycelował słowa poety w obcość, inszość, „niepolskość" przenikające do nas z Zachodu. „Zgniłego", jak podszepnęliby rosyjscy tradycjonaliści. Prezydent wszystkich pisowców i konfederatów nie doczytał jednak „Grobu Agamemnona", gdzie w innych wersach mówi się, jaką zakałą dziejów Polski się stały czerepy rubaszne – czyli sarmacka prefiguracja umysłowości pisowskiej.

I ten symbol wyzerowuje cały „patriotyczno-niepodległościowy" gulgot Nawrockiego na 11 listopada. Julian Tuwim mawiał: „Można prawić głupoty, ale czemu takim uroczystym tonem?".

Jarosław Bratkiewicz

* tytuł i śródtytuły – redakcja

eprasa.pl c170c7d41c

Wybory u demokratów

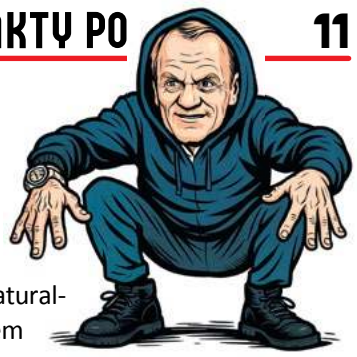

Ludowcy wybrali nowe, choć jednocześnie niby stare, władze. Pozostałe ugrupowania rządzące są w trakcie wewnętrznych kampanii. W jakiej kondycji koalicja stanie do walki o utrzymanie władzy?

W najlepszym humorze ma prawo być Donald Tusk: Koalicja Obywatelska od dłuższego czasu dzierży prym w sondażach, i to wyraźnie górując nad głównym, jak dotąd, rywalem – Prawem i Sprawiedliwością. Partii Kaczyńskiego nie posłużyło czerwcowe zwycięstwo Karola Nawrockiego, wyborcy chyba słabo utożsamiają nowego prezydenta z partią, która wysunęła go do wyścigu o urząd. Lokator Belwederu (zamieszkał w mniejszej rezydencji, podobnie jak Bronisław Komorowski) nie jest też pacynką jak jego poprzednik. Przyćmił nawet patrona obozu prawicowych populistów, samego Prezesa, co pewnie jest dla niego powodem do zmartwień. Póki obaj grają w tę samą grę, to tylko kwestia jego ego i samopoczucia; ale gdy głowa państwa zacznie podejmować kluczowe decyzje polityczne (np. o desygnowaniu nowego premiera albo w kwestii wojny w Ukrainie), Kaczyński może się poważnie zdziwić. Pewnie to już wie i łamie sobie głowę, jak wówczas reagować.

Humor może więc Tusk mieć lepszy niż koalicjanci, co nie oznacza, że dobry. Nawet 35 procent poparcia nie wystarczy, jeśli mniejsi partnerzy nie dostaną się do Sejmu. Teoretycznie można liczyć, że PSL jakimś cudem kolejny raz próg przekroczy – albo dołączy do list KO (mimo buńczucznych zapowiedzi Władysława Kosiniaka-Kamysza z ostatniego weekendu o samodzielnym starcie). Że Nowa Lewica nie przepadnie jak w 2015 r., a Nowa Polska lub jakaś inna inicjatywa liberalna zagospodaruje tę część wyborców partii Szymona Hołowni, która nie przerzuciła swojego poparcia na formację Tuska (skądś przecież wziął się ten wzrost notowań). Wszystko to jednak pozostaje w sferze marzeń i nadziei. Tym bardziej że wahadło nastrojów społecznych wyraźnie przesuwa się na prawo, a nawet ku radykalnej prawicy. Chyba trzeba pogodzić się, przynajmniej na jakiś czas, że Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna, uosabiająca wszystkie najgorsze historyczne reminiscencje oraz najbardziej obrzydliwe poglądy „prawdziwych" Polaków, zajęła miejsce w pierwszej czwórce politycznych stronnictw, dystansując rozdrobnioną lewicę i zmierzając do odegrania roli języczka u wagi.

Koalicję Obywatelską, przekształconą z sojuszu wyborczego w jednolitą partię, też czekają wybory władz. Nie będzie tu jednak żadnych niespodzianek. Pozycja Tuska jako lidera jest niezagrożona, dawne Inicjatywa Polska i Nowoczesna uzyskają eksponowane stanowiska, choć będzie to tylko ukłon w ich stronę o znaczeniu czysto protokolarnym, bez praktycznego wymiaru. Przy okazji uda się po cichu pożegnać z niektórymi działaczami, którzy się nie sprawdzili (np. w kampanii Rafała Trzaskowskiego).

Zgorzelski, nie Pawlak

Nie ma żadnej niespodzianki, że ludowcy na swojego prezesa ponownie wybrali Kosiniaka-Kamysza. Nie miał rywala do tego stopnia, że zmieniono statut ugrupowania, do tej pory wymagający startu w wyścigu o przywództwo przynajmniej dwóch kandydatów. Od dłuższego czasu był z tym wymogiem problem, trzeba było szukać tzw. zająca, gotowego dać twarz do beznadziejnej sprawy. A jednak to wielce symboliczne. Już ostatnie ugrupowanie w pełni demokratyczne zmierza w stronę partii wodzowskiej.

Kontrolę nad prezesem i zarządem PSL sprawuje Rada Naczelna; przynajmniej zgodnie ze statutem. Tu odbyły się demokratyczne wybory. Dotychczasowy przewodniczący tego ciała, były premier i wicepremier Waldemar Pawlak sromotnie poległ w starciu z wicemarszałkiem Sejmu i szefem klubu parlamentarnego ludowców Piotrem Zgorzelskim (198 do 678). Usłyszałem opinię, że Pawlak, znany z talentów „obrotowego" w zakulisowych grach, mógłby być skłonny do układania się z PiS po wyborach parlamentarnych. Na mój nos, nic bardziej mylnego. To doświadczony polityk, z niejednego pieca chleb jadł i wie nie gorzej od Kosiniaka-Kamysza (a być może znacznie lepiej), czym taki mariaż pachnie. Natomiast Zgorzelski jest zaufanym człowiekiem lidera partii, która staje się coraz bardziej karnym zastępem.

Osłabienie jej demokratycznego charakteru jest kolejnym krokiem ku cichemu końcowi III Rzeczypospolitej, jaką znamy od trzech i pół dekady. Wzmocniony tandem Kosiniak-Kamysz – Zgorzelski będzie jeszcze bardziej nieustępliwy w sprawach oczekiwanych przez tych wyborców, którzy ostatecznie przechylili szalę wyborów 15 października 2023 r. Będzie czerpał radość z roli konserwatywnej kotwicy rządowej koalicji. Zaś utrata półtora miliona wyborców – jak to wykazał przypadek Trzaskowskiego – jest nie do nadrobienia.

Marszałek Czarzasty

Nowa Lewica swój kongres będzie miała za miesiąc. Też dojdzie na nim do wyboru nowych władz, w tym przewodniczącego. Włodzimierz Czarzasty kiedyś ogłosił, że o reelekcję ubiegać się nie będzie. Od dłuższego czasu jednak, indagowany, unika powtórzenia tej kwestii. Funkcja marszałka naturalnie jest ukoronowaniem jego kariery politycznej. Ale czy musi automatycznie oznaczać oddanie partii w ręce innych, usunięcie się w cień i za dwa lata faktyczną emeryturę? To raczej wątpliwe.

Obecny lider Lewicy doskonale wie, że sejmowy stolec obejmuje na krótko. Miejsce w historii i ślad na kartach podręczników to jedno, ale nie unieważniają one ambicji będących nieodłączną cechą ludzi parających się polityką. Nawet jeśli Czarzasty nie stanie w szranki osobiście, to – obstawiam – wyśle do boju swojego kandydata *proxy*. Może się „dogada" z wicepremierem Gawkowskim, kto wie? – ale najbliżsi mu są chyba (z potencjalnych aplikantów) ministrowie nauki, obecny – Marcin Kulasek (według mediów zgłosił akces) i były – Dariusz Wieczorek. Kulasek jest jednocześnie sekretarzem generalnym partii, więc z pewnością ma rozległe wpływy wśród działaczy regionalnych i lokalnych, co przy wyborze ma zasadnicze znaczenie. Czarzasty na pewno nie odda Nowej Lewicy w ręce Agnieszki Dziemianowicz-Bąk ani posła Tomasza Treli. Pierwsza jest dobrze oceniana jako ministra polityki społecznej, ale nie ma „nerwu" partyjnego. Drugi jest bez wątpienia wygadany, ale w czasie jednoczenia SLD i Wiosny Roberta Biedronia, z której to fuzji Nowa Lewica powstała, przystał do buntowników występujących przeciwko metodom obecnego marszałka.

Utrzymanie przywództwa przez Czarzastego, formalnie bądź faktycznie, będzie gwarancją dalszego udziału lewicy w obozie rządowym, jeśli powstałyby sprzyjające temu okoliczności.

Scheda po Hołowni

Najgorzej sytuacja wygląda w odniesieniu do Polski 2050. Jej twórca i przywódca porzucił partię po przegranej w wyborach prezydenckich, które były rzeczywistym powodem obecności Hołowni w polityce. Statek bez kapitana kręci się w kółko i dryfuje. Większość wyborców już przepisała się do grupy sympatyków KO. Mitem jest, że jakaś w miarę znacząca część spośród nich była tak sceptyczna wobec Tuska, że gotowa byłaby wybrać Nową Nadzieję, Mentzenowską odnogę Konfederacji lub (dla odmiany) PiS. Nieliczni mogą życzliwie zerkać w stronę lewicy. Część zostanie w dniu głosowania w domu – i próbę przekonania tych właśnie powinny podjąć pozostałe trzy formacje prorządowe.

Jednak w partii toczy się zażarta walka o masę spadkową. Chętnych do sterowania tym idącym na dno okrętem jest zaskakująco wielu. To raczej dowód braku doświadczenia i predyspozycji politycznych, bo nie podejrzewam ministrów i posłów o zbiorową halucynację. Sęk jednak w tym, że jeśli formacja bez Hołowni zdołałaby zarejestrować komitet wyborczy i wystawić listy, to prawdopodobnie urwie pozostałym koalicjantom kilka (1-2) procent potencjalnych wyborców, progu i tak nie przekroczy, a zmarnowane głosy w części zasilą prawicową konkurencję. To może być dokładnie ta liczba, jakiej zabraknie do odniesienia zwycięstwa.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl c170c7d41c

Ukryte życie Jezusa

Religia chrześcijańska opiera się na przekonaniu, że Jezus z Nazaretu, zwany Chrystusem, był Synem Bożym, równym, współistotnym swemu Bogu Ojcu, a więc po prostu też był Bogiem. Teolodzy kościelni tylko w ten sposób potrafią wytłumaczyć szereg opisanych w ewangeliach zagadek i tajemnic otaczających jego postać.

Dotyczy to m.in. rzekomego dokonania wielu cudów i pozornie dobrowolnej męczeńskiej ofiary życia, a zwłaszcza zaistnienia osobliwej legendy o zmartwychwstaniu. Po prostu Bóg jest wygodną odpowiedzią na wszystkie wymienione oraz podobne problemy. Jednak przyjęcie tego użytecznego założenia zastawia na chrześcijańskich myślicieli nieprzyjemne pułapki. Jedną z nich jest, na przykład, stosunkowo mizerna skala cudów dokonanych na ziemi przez miłosiernego Boga, wobec ogromu tragedii i nieszczęść dotykających ludzkość. Jeszcze trudniejszą – tzw. czas ukrytego lub utajonego życia Chrystusa.

Zgodnie z oficjalną nauką Kościoła, obejmuje on okres od narodzin aż do wieku ok. 30 lat, gdy ujawnił się jako mesjasz i rozpoczął publiczną działalność. Faktem jest, że ewangeliści praktycznie nic o wcześniejszych latach nie piszą. Jedynie Łukasz opowiada o incydencie, gdy dwunastoletni Jezus podczas pielgrzymki do Świątyni Jerozolimskiej pozostał w przybytku i przysłuchiwał się uczonym w Piśmie. Zaniepokojeni jego nieobecnością rodzice szukali go, a gdy odnaleźli, wyjaśnił im, że jest w miejscu, które mu się należy. „Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział" (Łk 2, 50). To dosyć dziwna reakcja, zwłaszcza Marii, której podobno archanioł Gabriel w czasie zwiastowania wyraźnie oznajmił, że pocznie i urodzi Syna Bożego.

Problem pustki

Poza zdarzeniem opisanym w Nowym Testamencie nie ma żadnych innych informacji o dzieciństwie, młodości i pierwszych latach dorosłego życia Jezusa. Ten zaskakujący fakt od bardzo dawna budził niepokój kościelnych intelektualistów. Jest przecież dziwne, że Wszechmocny, Stworzyciel Świata, Król Królów nad Królami, Bóg w ludzkiej postaci, zrodzony z dziewicy za sprawą Ducha Świętego trzydzieści lat funkcjonował na ziemi i nikt nie dostrzegł jego boskiej natury! To sytuacja trudna do wyobrażenia, wręcz niemożliwa. Już pierwsi chrześcijanie dostrzegali ten dysonans i próbowali jakoś wypełnić niepokojącą lukę w życiorysie Syna Bożego, ale nie były to zbyt udane próby. W powstałej w połowie II wieku Ewangelii Dzieciństwa autorstwa Tomasza (Dzieciństwo Pana), obdarzony dużą fantazją autor zamieścił m.in opowieści, iż mały Jezus karał śmiercią lub zamieniał dzieci, które mu się naraziły, w świnie . Nie bardzo pasuje to do usilnie kreowanego później wizerunku miłosiernego Zbawiciela, więc dzieło to nie znalazło się w Nowym Testamencie i funkcjonuje jako apokryf.

Problem nieopisanych lat Jezusa pozostaje nierozwiązany do dzisiaj, ale w Kościele nie prowadzi się jakichś gorących dyskusji na ten temat. Nie ma potrzeby epatowania nim rzesz wiernych, a poza tym „niezbadane są wyroki boskie" i może po prostu Bóg Jezus chciał spędzić trzydzieści lat w Nazarecie jako zwykły ubogi cieśla. Inni badacze, poszukujący bardziej racjonalnych wyjaśnień ewangelicznych zagadek, wykorzystują okres utajonego życia Chrystusa do wypełnienia go różnymi, dosyć dowolnie wymyślanymi zdarzeniami. Są to, na przykład, sugestie, iż w młodości odbył podróż do Indii i Tybetu, gdzie zapoznał się z buddyzmem i później wykorzystywał niektóre elementy tej religii w swoich naukach. Podobna koncepcja obejmuje podróż do Egiptu oraz wiedzę i wiarę tamtejszych kapłanów. Jeszcze inni twierdzą, iż Jezus w tym czasie założył rodzinę, przy czym najczęściej jako kandydatka na jego małżonkę występuje Maria Magdalena. Wszystkie te pomysły nie znajdują żadnego poważnego potwierdzenia w ewangeliach, aczkolwiek zagadnienia sugerowanego ożenku i kobiet w otoczeniu Jezusa zasługują na szersze omówienie przy innej okazji.

Olśnienie

Dylemat rzekomo utajonego życia Jezusa wynika w rzeczywistości z niezrozumienia prawdziwego sensu i chronologii wydarzeń opowiedzianych w ewangeliach. Trzeba zacząć od tego, że Jezus wcale nie rozpoczął swej działalności dopiero w wieku 30 lat. Najpierw był zwykłym żydowskim chłopcem, niewyróżniającym się szczególnie wśród rówieśników. Gdy miał kilkanaście lat, zmarł jego ojciec Józef i Jezus, jako pierworodny syn, zaczął pełnić rolę głowy rodziny. Miał 20 lat lub niewiele więcej, gdy – podobnie jak tysiące innych żydów – postanowił udać się nad Jordan, aby zobaczyć sławnego Jana Chrzciciela. W otoczeniu proroka pozostawał kilka tygodni i uważnie wsłuchiwał się w jego podniosłe kazania i nauki. Został też przez Jana ochrzczony i miało spłynąć na niego objawienie; moment ten przedstawiany był później jako zstąpienie Ducha Świętego w postaci gołębicy. W rzeczywistości objawienie dotyczyło uświadomienia sobie przez Jezusa, że mógłby zostać nie gorszym prorokiem niż Chrzciciel.

Z tym przekonaniem powrócił do Nazaretu i przy pierwszej okazji wygłosił w miejscowej synagodze groźne kazanie, podobne do zasłyszanych nad Jordanem. Wzburzeni mieszkańcy wygonili go wówczas z miasta, a Jezus uświadomił sobie prawdę: „nie będziesz prorokiem we własnym kraju". Po tym incydencie dotarł do rybackiej osady Kafarnaum i tam już skutecznie wszedł w rolę świętego męża. Okazało się jednocześnie, iż ma duże zdolności bioenergoterapeutyczne, która to właściwość zdarzała się i zdarza u różnych ludzi na całym świecie. Głównie dzięki temu zyskał rozgłos w wielu żydowskich krainach. Przez szereg kolejnych lat mieszkał nad jeziorem Genezaret i funkcjonował jako natchniony kaznodzieja, rebe – nauczyciel i uzdrowiciel. Odbywał także wyprawy do bliższych i dalszych miejscowości, gdzie również nauczał i uzdrawiał. Towarzyszyło mu w tym kilku rybaków z Kafarnaum, występujących jako jego uczniowie. Dzięki głoszonym kazaniom, a zwłaszcza skutecznym uzdrowieniom, wśród ludu utrwalało się przekonanie, że jest prorokiem pobłogosławionym przez Jahwe.

Dojrzewający pomysł

Miał już ok. 30 lat, gdy nastąpiły wydarzenia, które skłoniły go do zmiany dotychczasowego wizerunku „zwykłego" proroka i wystąpienia w roli mesjasza. Jeden z istotnych momentów podejmowania takiej decyzji został w ewangeliach wyraźnie zaznaczony: „Potem Jezus udał się ze swoimi uczniami do wiosek pod Cezareą Filipową. W drodze pytał uczniów: *Za kogo uważają Mnie ludzie?* Oni Mu odpowiedzieli: *Za Jana Chrzciciela*, inni *za Eliasza*, jeszcze inni *za jednego z proroków*. On ich zapytał: *A wy za kogo Mnie uważacie*? Odpowiedział Mu Piotr: *Ty jesteś Mesjasz*. Wtedy surowo im przykazał, żeby nikomu o Nim nie mówili" (Mk 8, 28-30). Jeszcze nie był pewien, czy ostatecznie zdecyduje się na realizację ryzykownego planu, opartego na założeniu, że jako mesjasz, Syn Boży, staje się ważniejszy od arcykapłanów, więc to on powinien panować nad Świątynią Jerozolimską i całym krajem.

Ten pomysł podsunęli mu niewątpliwie ludzie wrodzy władcom Świątyni. Byli to Szymon Faryzeusz Trędowaty, bogaty mieszkaniec podstołecznej Betanii oraz dwaj stołeczni politycy, członkowie Sanhedrynu, Józef z Arymatei i Nikodem. Szymon Trędowaty wcześniej skorzystał z usług Jezusa jako uzdrowiciela i wówczas dostrzegł jego popularność oraz znaczny potencjał… „polityczny". W konsekwencji zaproponował mu dokonanie faktycznego zamachu stanu. Jezus po dłuższym namyśle zdecydował się podjąć tak niezwykłe wyzwanie. W charakterze mesjasza działał w różnych krainach żydowskich prawie trzy lata. Zgromadził licznych zwolenników i w kulminacyjnym momencie ruszył do Świątyni Jerozolimskiej, by wygonić z niej arcykapłanów i zacząć własne rządy.

Przegrał i został ukarany męczeńską śmiercią, bo nie był Bogiem ani Synem Bożym, nie był też mesjaszem ani nawet prorokiem. Był zwykłym człowiekiem, który zapragnął władzy.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl c170c7d41c

Prywata edukacyjna

Chcieliśmy mieć szkolnictwo prywatne, to mamy. Za swoje.

Wszystko zaczyna się od zdania, które jest fundamentem systemu: „Pieniądze idą za uczniem”. Hasło mające zwiastować oświatową emancypację, w której to nie samorządy, nie urzędnicy i nie geografia, lecz wybory rodziców oraz potrzeby uczniów miały kreować nową jakość edukacji. Tyle że z hasła został mechanizm, w którym „uczeń” stał się kodem dostępu do publicznych pieniędzy. A im bardziej ucznia nie było, tym bardziej się opłacało.

Dotacja oświatowa jest środkiem przekazywanym z budżetu przez samorząd na rzecz niepublicznych placówek edukacyjnych. Zasady są proste: kto zarejestruje szkołę i spełni formalne wymogi, może liczyć na regularny zastrzyk gotówki. I nie chodzi tu o skromne kieszonkowe, ale o kasę liczoną w setkach tysięcy, a niekiedy i dziesiątkach milionów złotych rocznie. Wystarczy tylko, że w comiesięcznych raportach do urzędu przedstawi się odpowiednio liczne grono uczniów i udowodni, że uczestniczyli oni w zajęciach z co najmniej pięćdziesięcioprocentową frekwencją. Z definicji to system kontrolowany, z procedurami, terminami, ewidencjami. W praktyce – maszyna do zarabiania pieniędzy.

Z naukowym błogosławieństwem

Policja w kilku województwach zatrzymała kilkadziesiąt osób w związku ze śledztwem dotyczącym wyłudzenia 140 mln zł z dotacji oświatowych oraz prania brudnych pieniędzy. Okrzyknięto to towarzystwo gangiem dyrektorek, bo 14 zatrzymanych było dyrektorkami szkół niepublicznych. Najstarsza z nich miała 70 lat, najmłodsza – 30. Zarzuty? Udział w zorganizowanej grupie przestępczej, poświadczanie nieprawdy w dokumentach i wyłudzenie milionów złotych. Sieć wyłudzających kasę szkół działała co najmniej w 20 miastach Polski, od Gdańska po Nowy Sącz. Skala była bezprecedensowa, lecz mechanizm znany. Zakładano szkoły niepubliczne, głównie średnie i policealne, a następnie wpisywano na listy uczniów, którzy nie istnieli. Albo istnieli, ale od lat przebywali za granicą. Albo nawet nie żyli. Tworzono listy obecności, rozpisywano plan zajęć, które się nigdy nie odbywały, łączono kierunki w taki sposób, że frekwencja na nich jednocześnie była fizycznie niemożliwa. I wszystko to działo się przez siedem lat. Prokuratura ujawniła, że szkoły kontrolowane były przez jedną grupę przestępczą. Kierował nią 51-letni fotograf z Łodzi. Spółki prowadzone były przez tzw. słupy, czyli osoby przypadkowe, werbowane z bezrobotnych czy emerytów. Dotacje płynęły miesiąc w miesiąc, rok w rok.

Nieco wcześniej prokuratura w Katowicach skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko byłej dyrektorce czterech szkół policealnych. Postawiono jej 3 253 zarzuty przestępstw związanych z wyłudzaniem dotacji. Metoda była standardowa. Fikcyjne listy obecności, zajęcia, które się nie odbywały, uczniowie podpisujący dokumenty po fakcie. Na podstawie sfabrykowanych danych kierowano do urzędu miasta wnioski o dotacje. Efekt? Blisko pół miliona wyłudzonych złotych.

W tle tych spraw są nie tylko pieniądze, ale nade wszystko, systemowa kompromitacja polskiej edukacji. Przez lata funkcjonowania patologii nikt nie dopatrzył się nieprawidłowości, choć dane przekazywane przez szkoły wskazywały absurdalne wzrosty liczby uczniów. W jednej z placówek liczba słuchaczy wzrosła z 200 do 850 w ciągu trzech miesięcy. Ale dotacje płynęły.

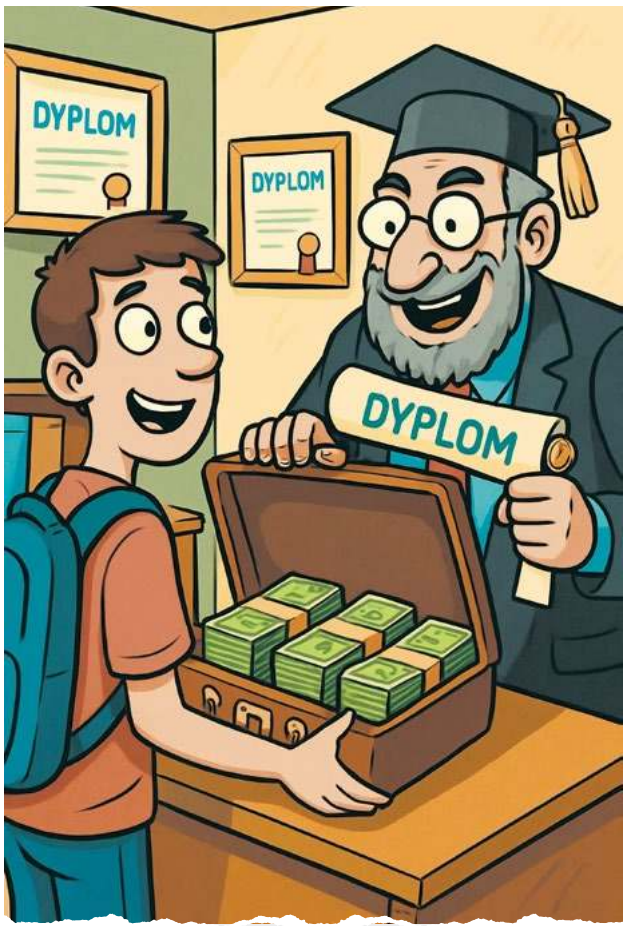

Wszyscy wiedzieli

Nieszczególnie zabawny w tej opowieści jest fakt, że uczniowie, którzy faktycznie się uczyli, zostali na lodzie. Szkoły zniknęły, czesne przepadło, dokumenty nie zostały wydane. Pozostali z niczym – bez świadectw, bez możliwości kontynuowania edukacji. Dziwne to o tyle, że już w raporcie NIK z czerwca 2023 r. znalazło się stwierdzenie, że system finansowania niepublicznych szkół nie działa prawidłowo. NIK przeanalizowała działalność ponad 200 niepublicznych placówek edukacyjnych w dziewięciu województwach i wykazała zawyżanie liczby uczniów, brak dokumentacji potwierdzającej realizację podstawy programowej, brak ewidencji frekwencji, zatrudnianie nauczycieli bez kwalifikacji oraz rażące nieprawidłowości w księgowości.

Według NIK, aż 37 proc. skontrolowanych szkół otrzymywało dotacje niezgodnie z przepisami, a w 19 proc. przypadków można mówić o podejrzeniu przestępstwa. Jeden z nich, opisany w raporcie, dotyczył szkoły policealnej, która zgłosiła ponad 400 uczniów, z których realnie do zajęć przystępowało nie więcej niż 30 osób. Mimo to placówka przez dwa lata otrzymywała pełne dotacje w wysokości ponad 3 mln zł rocznie. Raport niczego nie zmienił. Przy nowej władzy system zawodził na wielu poziomach: urzędniczym, legislacyjnym, kontrolnym i etycznym. Aż 52 proc. samorządów nie przeprowadzało w ogóle kontroli faktycznej działalności szkół, opierając się wyłącznie na dokumentach przesyłanych przez zainteresowanych beneficjentów. Dla wielu gmin – szczególnie tych mniejszych – obsługa dotacyjna stała się procedurą niemal automatyczną, bez realnego sprawdzania czegokolwiek.

Drukarnie dyplomów

Ale krajobraz oświatowej patologii nie kończy się na szkołach podstawowych, średnich i policealnych. Równie niepokojący obraz wyłania się z sektora szkolnictwa wyższego, zwłaszcza prowadzonego przez uczelnie prywatne. W tym świecie „pieniądze idące za studentem” przekształciły się w niepisaną zasadę, że wystarczy płacić, by studiować. No i dostać dyplom.

Najbardziej jaskrawym przykładem był skandal wokół Collegium Humanum (CH) – uczelni, która zyskała ogólnopolską sławę dzięki łatwości, z jaką można było zdobyć tam tytuł MBA czy doktora. W 2023 r. prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie handlu dyplomami, po tym jak media ujawniły, że wśród absolwentów „elitarnego” programu MBA znaleźli się prezesi spółek Skarbu Państwa, lokalni notable i samorządowcy. Studia trwały często tylko kilka miesięcy, zajęcia odbywały się online, a egzaminy – o ile w ogóle były – sprowadzały się do wpisania oceny.

Collegium zarobiło dziesiątki milionów złotych na sprzedaży tytułów. Uczelnia prowadziła ekspansję w całym kraju, otwierając filie w mniejszych miastach, gdzie oferowała błyskawiczne studia podyplomowe za opłatą – bez rygoru naukowego, bez selekcji, bez wymagań. Dyplom można było uzyskać bez obecności na zajęciach, bez pracy dyplomowej, a nawet bez kontaktu z wykładowcą. Wystarczył przelew. CH to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Podobne praktyki zarzucano innym uczelniom niepublicznym, które w obliczu rosnącej konkurencji i malejącej liczby studentów, zaczęły traktować edukację jak produkt – z cennikiem, promocjami i rabatami. Studia prywatne stały się transakcją.

W myśl obowiązujących przepisów, niepubliczna placówka edukacyjna może powstać niemal z dnia na dzień. Wystarczy zgłosić działalność do ewidencji prowadzonej przez samorząd, wskazać lokal, przedstawić statut i zatrudnić nauczycieli z tytułami. Kontrola? W zasadzie żadna – weryfikacja dokumentów przez urzędnika, który rzadko kiedy odchodzi biurka. Potem już tylko comiesięczne sprawozdania. Autonomia uczelni – święta zasada konstytucyjna – sprawia, że państwo ma bardzo ograniczone możliwości ingerencji w wewnętrzne procedury nauczania. O ile więc uczelnia nie złamie wprost prawa, może funkcjonować przez lata jako drukarnia dyplomów. I nawet jeśli ministerstwo odbierze jej prawo do prowadzenia studiów na jednym kierunku, to pozostałe działają nadal – nierzadko w systemie weekendowym, z wykładowcami-widmo i studentami, których nikt nigdy nie widział.

Ustawy o systemie oświaty oraz Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wprowadzają wprawdzie przepisy o kontroli, ale są one rozmyte lub całkowicie iluzoryczne. Samorządy nie mają narzędzi, by faktycznie sprawdzać, czy deklarowana liczba uczniów pokrywa się z rzeczywistością. Uczelnie zaś, chronione parasolem autonomii, odpierają wszelkie próby audytu jako naruszenie konstytucyjnych praw. Powstał system, w którym mnóstwo cwaniaków zarabia na imitacji edukacji.

Stefan Płonicki

eprasa.pl c170c7d41c

Putin w czekoladzie

„Jeśli walka jest nieunikniona, musisz uderzyć pierwszy". „Im mniej zębów, tym bardziej lubisz owsiankę". „Jeśli wyjdziesz nie mając do tego prawa, dostaniesz pałką w głowę". „Kiedy człowiek przestaje się dziwić, czas iść na cmentarz".

To nie są zasady z „kodeksu honorowego" ulicznych rzezimieszków. To „Wielkie myśli Wielkiego człowieka". Tak brzmi napis na pudełku czekoladek z portretem Putina. Przymiotnik „Wielki" pisany jest wielką literą. Pudełko zawiera 12 tabliczek czekolady. Do każdej dołączony jest cytat z przemówień W. Putina z ostatnich lat.

Pudełko z podwójnym dnem

Jest jeszcze jeden zestaw, z napisem „Swoich nie zostawiamy". Również zawiera 12 tabliczek, ale z innymi „złotymi myślami" Wielkiego Gopnika, jak nazywa Putina pisarz Wiktor Jerofiejew. Na przykład: „Granica Rosji nie kończy się nigdzie". Albo: „Świat się zmienia, a ciągłe wchodzenie w tę i we w tę przez okno, rwanie spodni, nie jest najlepszym rozwiązaniem". Wreszcie: „Zawsze musimy przestrzegać prawa, nie tylko wtedy, gdy nas złapią".

Tym sformułowaniom brakuje głębi. Zawierają więcej blefu, hipokryzji i jawnego chamstwa niż inteligencji. Według kremlowskich propagandystów, prezydenckie zestawy czekoladek stały się bestsellerem, po tym jak Kirił Dmitrijew, specjalny przedstawiciel Putina ds. inwestycji i współpracy gospodarczej (i mąż najlepszej przyjaciółki córki Putina), wręczył zestaw „rodzimych czekoladek" członkini Izby Reprezentantów USA Annie Paulinie Lunie. „Chodzi o to, żebyście poznali sposób myślenia naszego prezydenta" – powiedział Dmitrijew, wręczając prezent. Sugestia jest oczywista. Zwłaszcza biorąc pod uwagę propozycję rosyjskiego ministra obrony Andrieja Biełousowa dotyczącą rozpoczęcia prób nuklearnych.

Sposób myślenia W. Putina, podobnie jak jego czekolada, pozostawia gorzki posmak. To taktyka zastraszania, ale jej fabuła z łatwością uwzględnia groźbę zatopienia nieudanej wojny z Ukrainą w wielkiej wojnie europejskiej. Putin jest skazany na agresywne działania. Świat pod jego rządami nigdy nie nabierze ochoty na „słodycze". Na ten czekoladowy spektakl można jednak spojrzeć również z innej strony – rozpakować cukierek, zjeść go, a papierek wyrzucić do kosza. Pudełko czekoladek z portretem W. Putina, podarowane Paulinie Lunie przez Kiriłła Dmitrijewa, okazało się mieć drugie dno.

Deser z posmakiem krwi

Znalazłem czas, by zagłębić się w internetowe archiwa kuchni rosyjskiej. Zastanawiałem się, czy za czasów Stalina portrety wodza widniały na tabliczkach czekolady lub cukierkach? Nie żyłem, ani nawet nie urodziłem się za czasów Stalina. Takie cukierki z pewnością nie istniały za Chruszczowa, Breżniewa, Czernienki, Andropowa, Gorbaczowa ani Jelcyna.

Okazuje się, że nie było ich również za Stalina, mimo że kremlowscy historycy coraz częściej porównują Putina do Stalina, przekonując opinię publiczną, że „Rosja tęskni za silną ręką, bez której nie pokonamy Zachodu". Pod względem represji obecny reżim niemal dogonił Stalina, ale pod względem „deserów politycznych", by osłodzić życie łatwowiernemu człowiekowi, przekroczył poziom „przywódcy ludu". W latach dwudziestych XX w., po śmierci Lenina (1924), wprowadzono na rynek zestaw czekoladowych „cukierków" o nazwie Rewolucja Październikowa z portretami Karola Marksa, Włodzimierza Lenina, Lwa Trockiego i Feliksa Dzierżyńskiego. Planowano wypuścić cukierki z portretem Józefa Stalina (1934), ale nic z tego nie wyszło, bo wódz się nie zgodził. Zakazał tego nie ze skromności, ale z powodu przesądów i politycznej dwuznaczności symbolu słodyczy.

Stalin był dalekowzroczny. XVII Zjazd WKP(b) zapisał się w historii Związku Radzieckiego jako „Zjazd Rozstrzelanych". Ponad połowa jego delegatów (łącznie 1 966) została stracona podczas Wielkiego Terroru (1937-1938).

Pod koniec 2019 r. w Petersburgu pojawiły się czekoladki z portretem Stalina. Były częścią zestawu „Oblicza Rosji" i serwowano je bezpłatnie jako dodatek do kawy w Muzeum Rosyjskim. Pomysł ciągle wywołuje kontrowersje. Komentarze w mediach społecznościowych są równie naiwne, co skrajnie sprzeczne. „Ta czekolada przyprawia mnie o mdłości" – piszą niektórzy. „Kto powiedział, że car nie był smaczny?!" – oburzają się inni.

Afryka nam pomoże

Wróćmy do W. Putina w czekoladzie. Zestawy czekoladowe z portretem prezydenta Rosji i cytatami z jego „przełomowych" przemówień nie są dostępne w zwykłych sklepach spożywczych. Prezydencką tabliczkę czekolady można zamówić na platformie internetowej lub kupić w sklepie Roschocolate. Zestaw 200 gramów kosztuje 485 rubli (około sześciu dolarów amerykańskich).

Wszystko byłoby w porządku, gdyby pod opakowaniem z patriotycznymi hasłami i portretem W. Putina nie znalazła się… belgijska czekolada. Wyrób nieprzyjaznego kraju, którego stolicą jest Bruksela, siedziba Unii Europejskiej, będącej „źródłem i tubą" wszelkich antyrosyjskich inicjatyw.

W istocie Putin nieświadomie promuje zachodnie wartości. W Rosji nie ma i nigdy nie było krajowej czekolady najwyższej jakości. Cena czekolady z importu rośnie w zawrotnym tempie (średnio 40 proc. rocznie). Kilogram czekolady produkowanej w kraju kosztuje około 1 736 rubli (21,50 dolara). Do niedawna 100-gramowa tabliczka popularnej mlecznej czekolady stała się 80-gramową tabliczką, a teraz waży zaledwie 56 gramów. Zawiera więcej nadzienia niż czekolady. Pozostaje jedynie smak przypominający prawdziwą czekoladę.

Głównym źródłem dostaw ziaren kakaowca do Rosji jest Wybrzeże Kości Słoniowej. Daleko w tyle plasują się Ekwador, Peru, Togo, Stany Zjednoczone i Uganda. Razem dostarczają rocznie ok. 17 000 ton ziaren kakaowca o wartości 100 milionów dolarów. Do Rosji wysłano również około 55 000 ton proszku kakaowego o wartości około 270 mln dolarów. Głównym dostawcą jest Holandia, która odpowiada za jedną trzecią dostaw. Na drugim miejscu plasują się Niemcy, a następnie Indonezja i Malezja. Francja, Polska i Hiszpania również znalazły się w pierwszej dziesiątce.

– Produktem ubocznym przetwarzania ziaren kakaowca jest tzw. łupina kakaowa. Ta łupina to łuska ziarna, wykorzystywana w rolnictwie jako nawóz. Obecny kryzys nauczył cukierników ostrożniejszego obchodzenia się z tym produktem. Łupina ma zupełnie inne właściwości, ale teraz jest mielona na proszek w celu nadania smaku i mieszana ze zwykłym proszkiem kakaowym w celu zwiększenia objętości. Jest też szarańczyn strąkowy, którego nasiona są wykorzystywane jako substytut kakao. On również jest szeroko stosowany na rosyjskim rynku cukierniczym. Więc jeśli czujesz, że twoja ulubiona czekolada ma inny smak, nie zdziw się. To nie jest twoja wyobraźnia – dzieli się „tajnikami mistrzostwa" rosyjskich cukierników Ałła Trubnikowa, ekspertka i doktor nauk technicznych.

Rosja importowała gotowe produkty – kakao, czekoladę i wszystko, co z nimi związane – z Niemiec, Belgii, Polski, Włoch i Austrii. Te słodycze, nawet w najlepszych czasach, były uważane za towar luksusowy, podobnie jak czerwony czy czarny kawior, ale teraz są całkowicie niedostępne. Przeciętny Rosjanin zjadał rocznie około pięciu tabliczek tej „elitarnej" czekolady. Zaledwie cztery lata temu Rosja była też w pierwszej trójce eksporterów wyrobów czekoladowych. Teraz spadła do drugiej dziesiątki.

Mówi się, że czekolada może uleczyć nawet złamane serce. Musimy w to wierzyć „na słowo", bo jak dotąd tylko Putin jest pokryty czekoladą.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman

eprasa.pl c170c7d41c

Zbrodnia bezdomności

Kiedy władze państwa rozważają rozwiązanie problemu – autentycznego lub wyimaginowanego – za pomocą obozów koncentracyjnych, wszyscy wiedzą, a Polacy w szczególności, że kraj ów oddala się od demokracji, a przybliża szybko do faszyzmu.

15,8 akra ziemi na przedmieściu Northpoint, 10 km od Salt Lake City w stanie Utah. Pustkowie: do najbliższego przystanku autobusu 3,5 km. „Centrum Odpowiedzialności" – oficjalna nazwa brzmi krzepiąco. Lecz Jesse Rabinowitz z Krajowego Centrum Prawnego Bezdomności jest bardzo sceptyczny: „To przypomina sposób, w jaki Żydów i inne narodowości traktowali faszyści… To mi wygląda na obóz koncentracyjny". Senatorka stanowa Jen Plumb, demokratka, wyznaje: „Jestem projektem super zaniepokojona; centrum łatwo może się przeistoczyć w więzienie lub przechowalnię, a nie ośrodek terapeutyczny". Randy Shumway, prezes stanowej Rady Usług dla Bezdomnych, który z ramienia władz pilotuje przedsięwzięcie, sili się na optymizm, lecz w końcu nawet on przyznaje: „Pobyt w Centrum Odpowiedzialności nie jest dobrowolny, nie wchodzi się tu i wychodzi, kiedy się chce". Władze stanowe z republikańskim gubernatorem Spencerem Coxem mówią o „zmuszaniu bezdomnych do pobytu", ale akcentują: „żeby opuścili centrum i żyli pełnią człowieczeństwa".

Wyłapać i zamknąć

80 proc. chronicznie bezdomnych w Utah wegetuje w Salt Lake City, jest ich ok. 4 tys. 1 300 bezdomnych ma być w centrum szkolonych w „odpowiedzialności". Są obawy, że z własnej woli tam nie przyjdą, wiedząc, że wyjść się nie da. Przeto tworzy się oddziały policji zwane „ratunkowymi". Mają bezdomnych wyłapywać na mieście i proponować alternatywę: więzienie za włóczęgostwo lub doskonalenie odpowiedzialności. W centrum ma być 400 łóżek „terapeutycznych" dla uzależnionych i 400 dla bezdomnych bez nałogów. Indagowani, na co ma być przeznaczonych 500 pozostałych miejsc, animatorzy przedsięwzięcia nie chcą albo nie potrafią udzielić odpowiedzi.

Krytycy inicjatywy, która ma kosztować 34 mln dol. i zacząć funkcjonować w roku 2027, skupiają się na kwestii ewentualnego odzyskania wolności przez pensjonariuszy. Tu również brak jednoznacznych odpowiedzi. „Teoretycznie będą mogli wychodzić jeśli zechcą, lecz wokół ośrodka będzie się bezwzględnie egzekwować prawa o zakazie włóczęgostwa – mówi Eric Tears z Krajowego Centrum Prawnego Bezdomności. – Postawią nogę poza obóz, 10 km od miasta, na bezludziu i zostaną zapytani o adres zamieszkania. Jeśli nie wskażą żadnego, zostaną zawróceni za druty za włóczęgostwo". Ten scenariusz jawi się tym bardziej prawdopodobnie, że organizatorzy centrum niechętnie wyznają, że osadzeni w nim (w zamkniętych celach…) będą zmuszani do pracy. Oczywiście nie w zamian za pensję. Rezygnować z darmowych robotników? Hm, to nie brzmi jak ponętny pomysł biznesowy…

Genezą projektu z Salt Lake City jest urągające normom praworządności i prawom człowieka rozporządzenie wykonawcze Trumpa z lipca pt. „Rozwiązanie problemu przestępczości i nieładu na ulicach Ameryki", które kryminalizuje stan bezdomności. Każdy śpiący na ulicy czy w parku ma być, w świetle trumpo-prawa, aresztowany za włóczęgostwo. Jednocześnie kryminalny prezydent zarządził, by federalny Departament Mieszkalnictwa i Rozwoju Miejskiego zakończył swój dotychczasowy program dla bezdomnych pod hasłem: „Miejsce zamieszkania przede wszystkim". Trump twierdzi, że bezdomność jest skutkiem nałogów i schorzeń psychicznych. Zaprzecza temu Bill Tibbitts, wicedyrektor Crossroads Urban Center, ugrupowania pomagającego ubogim: „Większość nocujących w schroniskach to nie chronicznie bezdomni, lecz ludzie przeżywający krótkotrwałe problemy finansowe oraz emeryci, którym podniesiono czynsz tak znacznie, że nie stać ich na płacenie".

Aligator Alcatraz

Wizję Trumpa zainspirował projekt ultraprawicowego *think tanku* Cicero Institute, który wzywa do „agresywnych działań na rzecz kryminalizacji bezdomności". W liście do prezydenta pracownicy Cicero podkreślili, że „nie popierają konceptu znajdowania bezdomnym miejsc zamieszkania przede wszystkim, bo jest on nieodpowiedzialny". Jeszcze w roku 2023 Trump propagował pomysł „wykupywania tanich parceli" i umieszczenia na nich „miasteczek namiotowych dla bezdomnych". Obóz w Utah ma być „pilotażowym przedsięwzięciem dla całego kraju". Równolegle w innych prawicowych stanach rodzą się ustawy, których celem jest „rozwiązanie problemu bezdomności" przy zastosowaniu „elementu pracy przymusowej". W Luizjanie władze przygotowują ustawę penalizującą bezdomność: nieposiadający miejsca zamieszkania mają być skazywani na dwa lata „ciężkich robót". Podobne prawo wykluwa się w Zachodniej Wirginii: aresztowani za nocowanie w miejscach publicznych będą zmuszani do robót porządkowych.

„Oni pragną otworzyć więcej obozów typu Aligator Alcatraz – konstatuje Eric Tears. – Uwięzieni będą odcięci od pomocy prawnej, będą traktowani nieludzko". Aligator Alcatraz powstał kilka miesięcy temu na terenie Parku Narodowego Everglades na Florydzie jako więzienie namiotowe dla nielegalnych imigrantów przed deportowaniem ich. Relacje mówią o warunkach urągających humanitarnemu traktowaniu, o przemocy wobec zatrzymanych. Sąd federalny nakazał zamknięcie więzienia, powołując się na przepisy o ochronie środowiska, które jego istnienie gwałci. Sąd apelacyjny zawiesił egzekucję tego wyroku i Aligator Alcatraz do dziś funkcjonuje – poza wszelką niezależną kontrolą.

Obóz koncentracyjny pod Salt Lake City nie jest więc pierwszym obiektem tego typu. Prócz Aligator Alcatraz przed rozgrywkami Super Bowl w Nowym Orleanie kilka miesięcy temu prewencyjnie zamknięto na trzy miesiące 120 osób. Obóz-więzienie dla bezdomnych buduje również, kosztem 200 mln dol., Las Vegas. Oficjalnie motywem jest przyciągnięcie większej liczby turystów do miasta. Liczba ich spadła jednak nie ze względu na bezdomnych, którzy od dawna mieszkają w podziemiach miasta, lecz z powodu horrendalnych cen oraz międzynarodowego bojkotu TrumpoAmeryki.

W roku 2024 w USA zarejestrowano 771 480 ludzi jako bezdomnych. Oznacza to wzrost o 18 proc. w porównaniu z rokiem 2023. W ciągu ostatniej dekady liczba bezdomnych wzrosła o 60 proc.

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

W szambie złotego wieku

Ameryka przeżywa złoty wiek! Nigdy dotąd nie było tak wspaniale. Wystarczy się w te słowa hipnotycznie wsłuchać, zamiast cynicznie konfrontować je z rzeczywistością, i wszystko będzie dobrze. Tak mówi i myśli współczesny faraon Ameryki. Brzmi to pięknie, jak „propaganda sukcesu" schyłku gierkowskiego peerelu. To, jak dokonała ona żywota, rzuca światło na przyszłość trumpowskiego (k)raju.

Żaden z dotychczasowych prezydentów nie miał tak znikłego poparcia wyborców na tym etapie kadencji co Trump. 59 proc. Amerykanów odmawia słuchania jego łabędzich śpiewów i widzi cuchnące szambo. Według sondażu AP/NORC tylko 33 proc. Amerykanów aprobuje styl rządzenia Trumpa; 36 proc. podziela jego halucynacje dotyczące stanu gospodarki. Sztandarowe u zarania drugiej kadencji przedsięwzięcie Trumpa – rozprawa z imigrantami – cieszy się dziś aplauzem 34 proc. Co czwarty jego rodak egzystuje od wypłaty do wypłaty. Cała forsa idzie na czynsz, na jedzenie, benzynę i prąd. Ci, którym udało się wcześniej dostać pożyczkę na zakup domu, mają bezsenne noce przemyśliwując co robić, by go nie stracić i nie wylądować na ulicy. Liczba ludzi, których to spotkało, wzrosła w ciągu roku o 32 proc. Rekord dzierży Tampa na Florydzie.

Przyznajmy: prócz tych, co siedzą w szambie, są i rozpierający się wygodnie na pluszowym sedesie. „Gospodarstwa domowe o niskich i wysokich dochodach żyją w dwu innych światach" – konstatuje ekonomista Joe Wadford z Bank of America Institute. Zarobki młodych rosną w tempie 1 proc. rocznie (inflacja wynosi 3 proc. i rośnie), zaś zamożnych o 6 proc. Pewnie dlatego – według Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów – 63 proc. tych pierwszych marzy o wyniesieniu się z USA. 75 proc. Amerykanów żyje w stresie wywołanym zmartwieniem o przyszłość kraju. Główne jego powody to gospodarka, brak pieniędzy i polityka Waszyngtonu.

To wszystko „oszustwa demokratów" i „fejki mediów" – pieni się faraon.

J.Z.

eprasa.pl c170c7d41c

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) mebel spod Paryża, 2) czarne na białym, 3) ścina galaretkę, 4) publiczność, 5) sos z masła, mąki, jaj i mleka, 6) jantar, 7) lekarz od kości, 8) gdy opada to pada, 9) hormon trzustki regulujący przemianę cukrów, 10) naczynie na atrament, 11) rzymski wodociąg otwarty, 12) odtwarza winyle, 13) pierwszy raz na deskach, 14) na głowie kowboja, 15) pokarm wieloryba, 16) uroczystość szkolna, 17) nagrywa wywiad, 18) depesza, 19) lamówka do obszywania, 20) rozbierany taniec, 21) badacz ciał niebieskich, 22) największe polskie jezioro, 23) zasobnik do transportu towarów, 24) kamień dający iskrę, 25) w komplecie z wałkiem, 26) część kwoty zapłacona z góry, 27) społeczny półświatek, 28) dla teatromana lub wojskowego, 29) forma z drewna wkładana do buta, 30) ostatni pełny miesiąc lata, 31) duży rybożerny ptak oceaniczny, 32) pijak tam nie wylewa, 33) zabawna opowieść o znanej postaci, 34) zielona odmiana berylu, 35) zupa z mleka i płatków zbożowych, 36) do wtrącania w opowiadaniu, 37) święto górników, 38) otwarcie wystawy, 39) partyzancka przeszkoda, 40) odzież spodnia, 41) kwoty ustalone sądownie łożone na dzieci, 42) nieobecność w pracy, 43) zielona trawka dla cukrowego baranka, 44) rozdźwięk, 45) pigułka, 46) widzenie na różowo, 47) porozumienie zawarte w celu rządzenia, 48) szkic przemówienia lub referatu, 49) biuro przyjmujące gości hotelowych, 50) dymi i schlebia przed ołtarzem, 51) przesadza z odwagą, 52) w gazecie przepowiada przyszłość Strzelca i Koziorożca, 53) akademickie spóźnienie, 54) krótka, gruba kiełbaska, 55) przebój, 56) przyrząd optyczny na okręcie podwodnym, 57) oddzielenie kompetencji instytucji.

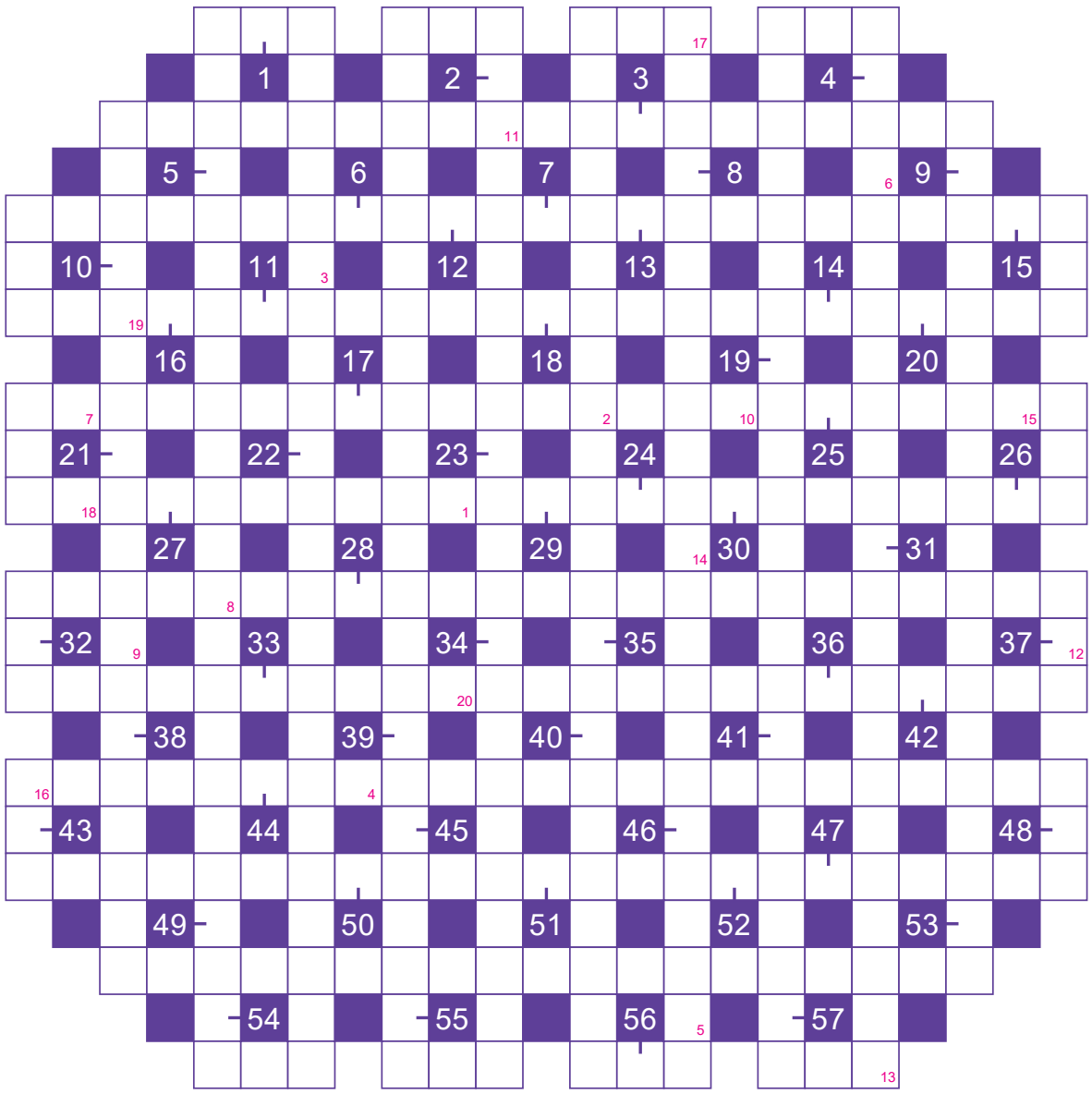

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 45/2025:
„A CO, MOŻE POWIESZ, ŻE PIWA NIE PIJESZ?!”.
Nagrody otrzymują:
Elżbieta Putowska z Lublina, Małgorzata Adamczyk z Ełku, Agnieszka Małek z Dłutowa.

Rozmawiają koledzy:
– Wiesz, że Janusz przestał pić?
– Skąd wiesz?

– | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | .

Zaginiony ksiądz

Warszawska policja szuka 44-letniego ks. Marka Wodawskiego. Duchowny wyszedł ze swojego mieszkania wieczorem 7 listopada br.

Funkcjonariusze prowadzą szeroko zakrojone działania operacyjne i poszukiwawcze, weryfikując każdy, nawet najdrobniejszy sygnał – podkreśla podinsp. Joanna Węgrzyniak z Komendy Rejonowej Policji Warszawa VII i dodaje, że ksiądz może poruszać się samochodem Skoda Fabia z 2015 r. kolor szary, nrumer rej. WPI 40909.

W ostatnim czasie duchowny pracował jako rezydent w parafii Matki Bożej Królowej Polski w warszawskim Aninie. Cieszył się dobrą opinią wśród parafian i kolegów po fachu. Księża odmawiają jednak rozmów z dziennikarzami na temat jego zaginięcia.

fot. Praga-południe.policja.gov.pl

Dziennikowi „Fakt” udało się porozmawiać z parafialną kucharką, która jako ostatnia rozmawiała z duchownym w dniu zaginięcia. Kobieta twierdzi, że był uśmiechnięty i nic nie wskazywało na to, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Tuż przed wyjściem poprosił ją o kwiaty, które miał wręczyć swojej mamie. Nikt w parafii nie wiedział też, że ksiądz miał swoje mieszkanie przy ul. Białowieskiej na Pradze-Południe. Księża dowiedzieli się o tym z komunikatu policji.

Ksiądz Marek ma 175 cm wzrostu i jest średniej budowy ciała. Ma ciemne krótkie włosy. W dniu zaginięcia był ubrany w czerwoną bluzę oraz niebieskie spodnie jeansowe.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

„FpM”
w prenumeracie Poczty Polskiej S.A.

Szanowni Państwo,
do 25 listopada prenumeratę naszego tygodnika na I kwartał 2026 można zamawiać za pośrednictwem **Poczty Polskiej**:

- **na stronie: sklep.poczta-polska.pl**
- **w placówkach pocztowych**

koszt 129,87 zł

eprasa.pl c170c7d41c

Wszystkie jej potrawy były oparte na recepturach pochodzących od obcych ludzi. Jest coś niezwykłego w dzieleniu się ulubionymi daniami.

Asaki Yuzuki „Masło”

Ulubione dania

Przeczytawszy książkę, z której pochodzi cytat, uświadomiłam sobie, że lubię kuchnię między innymi właśnie z tego powodu. Dzielenie się ulubionymi potrawami z bliskimi, próbowanie tego, co gotują dla siebie, łączy ludzi, sprawia, że świat staje się lepszy, ciekawszy, smaczniejszy. Postanowiłam więc wypytać przyjaciół, co najchętniej jedzą i podzielić się z Państwem ich przepisami. Dziś pierwsza partia.

Policzki wołowe

Z Ewą chodziłyśmy do jednej klasy w podstawówce, nasza przyjaźń jest więc najdłuższa i dlatego rozpoczynam od jej przepisu. Miała dylemat, co zaproponować, bo ostatnio ma azjatycką fazę, wykorzystuje do tego różne mrożonki, dodając do nich mięso, ryby, krewetki. Przyciśnięta do muru, stwierdziła, że najbardziej lubi policzki wieprzowe lub wołowe, w jej wersji doskonałe. Próbowałam, polecam.

Na głębokiej, dużej patelni rozgrzejcie olej lub masło klarowane, włóżcie policzki. Smażcie je przez kilka minut z każdej strony. Przesuńcie na bok patelni, a w wolne miejsce połóżcie cebulę pokrojoną w ćwiartki i białą część pora w grube krążki; po chwili smażenia dodajcie jedną, dwie marchewki pokrojone w plastry i pół średniego selera korzeniowego rozdrobnionego w grubsze kostki. Kiedy warzywa się już przesmażą, włóżcie liść laurowy, ziele angielskie, kilka ziarenek pieprzu, posólcie i podlejcie wodą lub bulionem. Zagotujcie, zmniejszcie ogień, przykryjcie patelnię pokrywką, gotujcie do miękkości mięsa. Na pół godziny przed końcem dolejcie szklankę białego wytrawnego wina, które jest konieczne, by zrównoważyło słodkość warzyw. Jeśli nie macie wina, sprawdzi się sok jabłkowy lub cydr. Przed podaniem posypcie, jeśli lubicie, natką pietruszki. Do tego jakieś większe kluski, na przykład na parze, czyli pampuchy.

Karkówka

Z Magdą łączy mnie też szkoła. Jej pieczona karkówka stała się słynna na naszych wiejskich imprezach. Ma tę zaletę, że może być jadana na ciepło jako danie kolacyjne lub obiadowe, a jeśli zostanie – oczywiście, pod warunkiem, że upiecze się odpowiednio duży kawałek, a jedzących będzie mało – sprawdza się na zimno.

Najważniejszy jest wybór karkówki, nie powinna być ani za tłusta, ani za gruba, ale i nie za chuda. Najlepiej wcześniej zaprzyjaźnić się z panem/panią, którzy sprzedają mięso, by znaleźli ten najlepszy kawałek. Po przyniesieniu do domu zalejcie ją kefirem lub zsiadłym mlekiem na 24 godziny, by pięknie skruszała. Potem trzeba ją opłukać, zamarynować w oliwie, occie winnym i w takich ziołach, jak tymianek, rozmaryn, majeranek oraz przyprawach – w pieprzu, papryce, liściu laurowym i zielu angielskim (jeśli jesteście leniwi, wykorzystajcie gotową przyprawę do karkówki). Powinna sobie w tym postać od 12 godzin do 2 dni; co jakiś czas trzeba ją obracać, by marynata dotarła wszędzie. Tuż przed pieczeniem natrzyjcie ją solą i ewentualnie, jeśli lubicie, posypcie majerankiem lub kminkiem. Magda ostatnio półtora kilograma karkówki piekła w rękawie przez 3 godziny w temperaturze 150°C.

*

Wczoraj spora grupa przyjaciół piekła ciasteczka, które mają być wykorzystane w akcji zbierania pieniędzy na łódzką szkołę muzyczną, więc była to świetna okazja do rozmów o kuchni. Kiedy zapytałam o ulubione potrawy, Michał się rozmarzył, wspominając smak karkówki, którą robiła jego mama i podawała razem z kopytkami. Niestety, mimo wielokrotnych prób nigdy nie udało mu się go odtworzyć… Cóż, z pewnością najważniejszą, ze zrozumiałych względów nigdy nieodtwarzalną przyprawą, była w tym przypadku miłość matki.

A zatem dziś przepis tylko na fasolkę po bretońsku.

Fasolka po bretońsku

Zdaniem Michała, kluczem do sukcesu jest kupienie największego pięknego jasia, jakiego znajdziecie. Trzeba go namoczyć przez 10 godzin, a potem ugotować, nie zmieniając wody, z wędzonymi kośćmi wieprzowymi. Kiedy wszystko będzie już miękkie, wyjmijcie kości, a gdy ostygną, obierzcie je z mięsa. Usmażcie cebulę pokrojoną w kostkę razem z wędzonym boczkiem i kiełbasą (też pokrojonymi). Połączcie z jasiem, mięsem, cebulą, wędzonką, dodajcie przecier pomidorowy i duużo majeranku. Podgrzejcie do zagotowania. Pycha.

Można zamrozić. Jeśli zostanie!

Placki ziemniaczane z sałatką śledziową

Placki ziemniaczane, nazywane też plindze lub plince (z niemieckiego: Die Plinse, choć jest też i Kartoffelpuffer), znane są w różnych wariantach nie tylko w Polsce, ale i w kuchni ukraińskiej, czeskiej, słowackiej, żydowskiej, niemieckiej, w tej ostatniej jadają je z musem jabłkowym. U nas w czasach PRL modne były placki ziemniaczane po zbójnicku lub po węgiersku z pikantnym gulaszem.

Iwona bardzo lubi placki ziemniaczane, choć ścieranie ziemniaków na tarce nie jest jej ukochanym zajęciem. Przygotowuje je więc dość rzadko. Zgodnie z tradycją, ściera na drobnej tarce ziemniaki, cebulę, dodaje odrobinę mąki, jajko, doprawia solą i pieprzem. Jada je z cukrem albo klasycznie, czyli ze śmietaną posypaną cukrem, choć czasem woli wersję wytrawną ze śmietaną lekko zakwaszoną kwaskiem cytrynowym, doprawioną solą i pieprzem. Podaje je także z gulaszem.

Jednak najbardziej smakują jej placki ziemniaczane z… sałatką śledziową. Niestety, jest to wersja bardzo czasochłonna, więc przygotowanie najlepiej rozłożyć na dwa dni. Dzień wcześniej ugotujcie buraki. Potem pokrójcie filety śledziowe na centymetrowe kawałki, cebulę w półplasterki, ogórki kiszone i ugotowane buraki w kostkę. Wymieszajcie razem i połączcie sosem z gęstej śmietany wymieszanej z jogurtem, doprawionej solą, pieprzem, ewentualnie odrobiną cukru. Odstawcie do lodówki na noc, by smaki się przegryzły. Następnego dnia usmażcie placki i zjedzcie z sałatką.

Grzanki

Przemek od kilku lat samotnie zmaga się z gotowaniem. Taki los wdowca. Jego popisowym daniem stał się od jakiegoś czasu bigos, ale jest bardzo pracochłonny, więc czasami, gdy ma ochotę zrobić sobie przyjemność i zjeść coś szybkiego, dobrego i niekoniecznie dietetycznego, przygotowuje grzanki. Kroi chleb na kromki, smaruje je z obu stron masłem, układa na blasze wyłożonej papierem, na wierzch każdej kładzie plasterek żółtego sera (ważne, by ładnie się topił), plasterek dobrej szynki, czasem smaruje ją jeszcze musztardą od strony sera, potem plastry pomidorów, na wierzch krążek cebuli; soli, posypuje pieprzem i zapieka. Grzanki można zrobić w mikrofalówce, ale nie uzyskacie takiej dobroci, jak w tych z piekarnika. Zapiekajcie do chwili, gdy chleb będzie chrupiący. Jeżeli nie lubicie miękkiego pomidora, połóżcie na wierzch surowy już po upieczeniu.

*

Dodam jeszcze, że ciasteczkowe spotkanie zaowocowało deserem. Kupiłam ciasto kataifi, ale nie miałam na nie pomysłu. Ale… przyszło olśnienie. Wymieszałam masło orzechowe z miodem i kakao, dodałam ciasto kataifi. Zawinęłam w folię, włożyłam na trochę do lodówki, a potem pokroiłam w plasterki. Zniknęło błyskawicznie.

*

A może Państwo też podzielą się przepisami na swoje ulubione potrawy?

Stronę redaguje **Joanna Cyterska**

eprasa.pl c170c7d41c

My, Wietnamczycy

Z gadziej perspektywy

Pięć stowarzyszeń zrzeszających polskich Wietnamczyków opublikowało na początku listopada w internecie zdecydowany protest.

Oburzył ich wywiad zamieszczony w portalu Onet.pl reklamujący podcast „Nieświęty" autorstwa Anny Sobolewskiej, firmowany przez Radio TOK FM i także w tym radiu promowany. Ale w Onecie reklama sięgnęła poziomu prasy brukowej. „Wietnamska mafia, polski zakonnik i miliardowe przekręty. Dziennikarka ujawnia: grozili mi śmiercią" – zachęcano do słuchania.

Polscy Wietnamczycy nie znieśli takiej chamówy medialnej i napisali: „Wyrażamy zdecydowany sprzeciw wobec przypisywania społeczności polskich Wietnamczyków – jako całości lub w sposób uogólniający – działalności przestępczej lub mafijnej, bez przedstawienia rzetelnych dowodów i z należytą precyzją rozróżnień. Nie zgadzamy się z używaniem w artykułach i w serialu określeń takich, jak *mafia wietnamska*, *państwo w państwie*, *Wietnamczycy z Wólki Kosowskiej* w odniesieniu do środowiska wietnamskiego w Polsce. Takie sformułowania kreują obraz nieprawdziwy, uprzedmiotawiający i uwłaczający".

Zwrócili uwagę na problematyczne sformułowania i wnioski, które nie znajdują potwierdzenia w faktach: „Zwrot *wietnamska mafia* używany w tytule i treści sugeruje, że cała społeczność wietnamska w Polsce – lub znaczna jej część – jest zaangażowana w działalność przestępczą. Tymczasem Wietnamczycy żyją w Polsce od trzech pokoleń i – według wszelkich danych – stanowią grupę społeczną, która nie jest źródłem problemów o charakterze kryminalnym. Wnioski dotyczące naszej społeczności w artykule nie są oparte na żadnych oficjalnych statystykach ani dokumentach, lecz na domysłach, plotkach i wypowiedziach osób niezwiązanych ze społecznością wietnamską, powielających krzywdzące stereotypy. Nie ma naszej zgody na cytowane poniżej treści: *Te grupy chińskie i wietnamskie zajmują się też m.in. handlem ludźmi*. To bardzo poważne oskarżenia – jednak w artykule brakuje jakichkolwiek danych, przypadków, dat lub dowodów, co prowadzi do nieuzasadnionej stygmatyzacji społeczności wietnamskiej".

Autorzy protestu zadeklarowali: „Bezwzględnie popieramy działania służb państwowych w zwalczaniu przestępczości – jednak każde bezprawne działanie powinno być oceniane przez pryzmat jednostki, a nie całej grupy narodowej. Uważamy, że wykorzystywanie stereotypów i sensacyjnych narracji w celu promocji komercyjnych projektów medialnych, takich jak serial *Nieświęty*, jest nieodpowiedzialne i krzywdzące dla naszej społeczności".

Wygrana

Protest polskich Wietnamczyków – poparty też przez władze lokalne Wólki Kosowskiej, licznych Polaków i polskie stowarzyszenia wspierające Wietnamczyków – dał pozytywny skutek. Choć Onet i TOK FM, media uważające się za progresywne, demokratyczne, otwarte na problemy wszelkich mniejszości, nie odnotowały należycie protestu, to Radio TOK FM szybko zmieniło treść publikowanych tam spotów reklamujących ten podcast. Zniknęła z anteny „wietnamska" i „chińska" mafia, teraz jest „azjatycka". Nie ma już brukowych oskarżeń całej społeczności wietnamskiej i chińskiej. Protest polskich Wietnamczyków i wspierających ich Polaków odniósł skutek.

Przegrały wizerunkowo Onet i TOK FM, decydując się na takie prymitywne promowanie podcastu. Wpisując się tym w prawicowe, narodowo-katolickie nagonki na „nielegalnych migrantów", „islamistów", „niewdzięcznych Ukraińców".

To prawda, że ksenofobia, sensacje, krew i bebechy najłatwiej sprzedają się w internecie. Podobnie jak kłamstwa, teorie spiskowe, tajne mafie rządzące światem. To prawda, że ksenofoby, płaskoziemcy i narodowo-katoliccy prawicowcy są szczególnie aktywni w internecie. Napędzają sprzedaż podcastów. Ale czy o taką publikę zabiegają Onet i TOK FM?

Przegrała na takiej promocji także redaktor Anna Sobolewska. Kiedyś redaktorka Superwizjera w TVN24, gdzie zajmowała się tematami medycznymi i przestępczością zorganizowaną. Laureatka Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego oraz Grand Press w kategorii „dziennikarstwo śledcze". Po takiej wpadce trudno jej będzie znaleźć godnych rozmówców wśród cudzoziemców i Polaków też. Ciężko jest uprawiać rzetelne dziennikarstwo oparte jedynie na „anonimowych źródłach informacji".

Co dalej?

Polscy Wietnamczycy pokazali zamieszkałym u nas cudzoziemcom, jak zwyciężać mają. Jak bronić swego dobrego imienia. Zauważcie, że obecni w tym podcaście Chińczycy nie protestowali. Milczeli Turcy, także pracujący w kompleksie handlowym w Wólce Kosowskiej.

Ale polscy Wietnamczycy są obecni u nas już od 35 lat. Mają swoje świątynie, stowarzyszenia, pisma, zespoły pielęgnujące wietnamską kulturę. Ciężko pracują, nie korzystają z polskiego, minimalnego zresztą, socjalu. Płacą w Polsce należne podatki. Polscy Wietnamczycy chodzą do polskich szkół, wygrywają olimpiady języka polskiego, licznie uczestniczą w polskim życiu naukowym, kulturalnym, politycznym. Polscy Wietnamczycy kręcą polskie filmy. Jeden z nich – „Entropia" Anny Fam-Rieskaniemi – będzie otwierał Festiwal Polskich Filmów w Wietnamie w grudniu tego roku.

Mamy już polskich Wietnamczyków, którzy zostali wybrani na radnych. Wielu z polskich Wietnamczyków ma obywatelstwo RP, bo prawo wietnamskie zezwala na podwójne. Jako polscy obywatele mają takie same prawa jak polscy Polacy. Także do ochrony swego wietnamsko-polskiego wizerunku. Bo są częścią naszej Polski.

Kiedy zamieściłem protest wietnamskich stowarzyszeń na swoim facebookowym profilu, poparło go wielu Polaków, zwykle sąsiadów polskich Wietnamczyków. Nieliczne chamskie i ksenofobiczne wpisy pochodziły od Polaków mieszkających za granicą.

Wtedy też dostrzegłem, że polscy Wietnamczycy, tak aktywni i wzorowo obywatelscy, nie są dostatecznie obecni w polskich mediach. Media publiczne nie prezentują tysięcy ludzi uczestniczących w dniach kultury wietnamskiej. Progresywne media, jak Onet.pl, Radio TOK FM, nie zapraszają liderów tej społeczności. A przecież Karol Hoang byłby ciekawym gościem znakomitego podcastu „Los Polandos" redaktora Pawła Sulika.

Czy polski Wietnamczyk musi dokonać przestępstwa, by wreszcie zostać dostrzeżony przez polskie media?

Piotr Gadzinowski

BLOK CENTRALNY BLOK

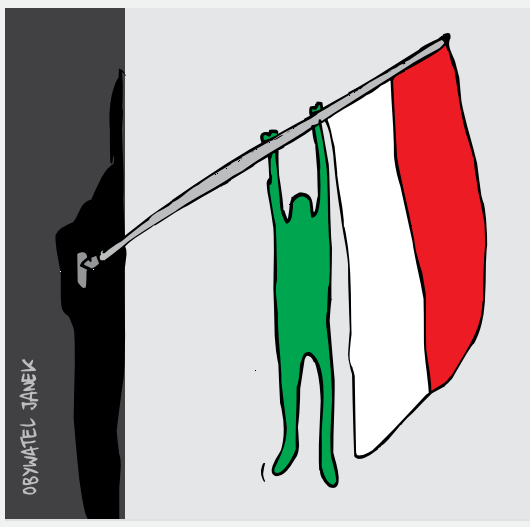

O. Oktan podjechał pod Blok jakimś zdezelowanym fiatem miast swym wypasionym złotym maybachem. Zaparkował na swoim miejscu i udał się do penthousu, w którym funkcjonował (Zeus raczy wiedzieć, na jakich zasadach) kościół, przeniesiony tam przez niego w ramach jakiegoś kaprysu. Na parking zleciało się pół Bloku.

– Oj, chyba nadchodzi zmierzch bogów, a na pewno ich sługusów – zawyrokował Romek z parteru.

– Myślisz, że już po nim? – zafrasował się mięśniak Stacho.

– Wszystko jest możliwe. Obcięli mu dotacje, grzebią w fakturach, jeszcze ta afera z tym, pożal się boże, „kościołem" – odparł Romek.

– To był świetny pomysł – żachnęła się Emerytka Kasia. – Dzięki tak wygodnej lokalizacji mam przynajmniej blisko do pociechy duchowej.

– Nie tylko pani – sprośnie uśmiechnęła się Księgowa Stenia.

Wszyscy buchnęli śmiechem, zmuszając Emerytkę do opuszczenia zbiegowiska. Odeszła wzburzona mieszając świętych i kurwy w jednym przekleństwie.

– A ja myślę – powiedział jak zwykle naspawany od rana Parkingowy Henio – że w końcu dotarło do niego, iż tylko życie w ubóstwie zapewni mu miejsce w Królestwie Niebieskim.

W obliczu tak absurdalnego dowcipu buchnęliśmy śmiechem jeszcze potężniejszym, szczerym i zdrowym. Oj, dzięki Kościołowi będziemy długo żyli w tymże zdrowiu. Bo przecież śmiech to zdrowie. Zwłaszcza szczery.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl c170c7d41c

Czerwone korale

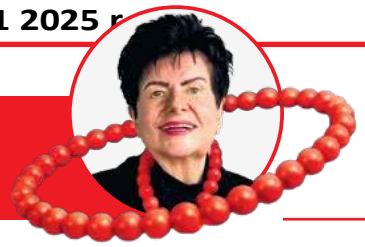

Zbigniewa Ziobry nie poznałam osobiście. Nigdy nie uścisnęliśmy sobie rąk ani nie wymieniliśmy nawet zdawkowych, grzecznościowych formułek, choć oboje byliśmy w Sejmie IV, V, VI i IX kadencji, a do tego jeszcze 5 lat w Parlamencie Europejskim (2009-2014). Czasami tylko mijaliśmy się bez słowa na sejmowych korytarzach, w poselskiej restauracji, słynnym barze „Za kratą”.

Moje potyczki ze Zbigniewem Z.

Na salach posiedzeń plenarnych w Warszawie, Strasburgu, Brukseli siedzieliśmy od siebie tak daleko, jak odległe są nasze poglądy na wszystko, a zwłaszcza na politykę, honor, uczciwość, władzę, pieniądze... Mimo to znam go jak zły szeląg, bo wielokrotnie miałam okazję słuchać jego niewiarygodnie butnych wystąpień, kiedy był posłem, członkiem komisji Rywina, ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym. Widziałam też, jak podczas spotkań wyborczych zmienia się w miłego, uprzejmego, wręcz ugrzecznionego polityka, który suwerenowi przychyliłby nieba. Dr Jekyll i mr Hyde czy raczej Dorian Gray i jego portret?

Moherowe berety Ziobry

W 2009 r. kandydowałam z drugiego miejsca do Parlamentu Europejskiego w okręgu małopolsko-świętokrzyskim, gdzie jedynki mieli Róża Thun z PO, Zbigniew Ziobro z PiS. Ponieważ byłam z Gdyni, okrzyknięto mnie złośliwie Darem Pomorza, co przekułam na dobrą monetę, bo przecież wszyscy lubimy dostawać prezenty. Okręg, przynajmniej początkowo, to była dla mnie istna *terra incognita*. Uznałam więc, że zamiast organizować własne spotkania wyborcze, pójdę na Ziobrowe, co powinno zainteresować media. I tak się stało, ale nie od razu.

Sala była wypełniona po brzegi. Siedziałam z tyłu wśród wrogo nastawionych oddziałów moherowych beretów, gotowych niczym czerwone lub niebieskie, walczyć o swojego idola. Ponieważ Ziobro, z ostrożności procesowej, nie dopuścił mnie do głosu, ulotniłam się, bez uszczerbku na zdrowiu, choć niewiele brakowało. I pewnie na tym doświadczeniu bym poprzestała, gdyby nie telefon od Róży Thun, która najwyraźniej uznała, że dwie kobity na Ziobrze będą większym hitem niż jedna.

Platforma była przy władzy, więc telewizje nie zawiodły, karnie stawiły się na posterunku i filmowały. A było co. Uczestnicy Ziobrowej imprezy, uzbrojeni w laski, kule i parasolki, patrzyli na nas z wściekłością w oczach i pianą na ustach. Atmosfera gęstniała. Senioralne towarzystwo wymachiwało sprzętem ortopedyczno-rehabilitacyjnym, groźnie pomrukiwało i wykrzykiwało obelgi. Przed linczem rozwścieczonego tłumu, gotowego bronić swojego idola, uratowało nas jego wkroczenie na scenę, a przede wszystkim kamery, bo nawet najbardziej zacietrzewieni niekoniecznie chcą być nagrani podczas przemocowych akcji. Ziobro perorował, a my marzyłyśmy, żeby już nie słuchać prawicowego bełkotu. Wyszłyśmy przed końcem, ku zadowoleniu wszystkich.

Zioberka w sosie PiStacjowym

Koniec wieńczy dzieło, więc ostatni dzień przed ciszą wyborczą, 24 maja 2009 r., zaplanowałam perfekcyjnie i w najdrobniejszych szczegółach. Rano telewizyjna minidebata z pisowską jedynką, w południe mój brawurowy event w Nowej Hucie, potem łażenie do północy po centrum handlowym w charakterze żywego plakatu, co jest sprawdzonym elementem kampanii.

Nastawiłam się na grillowanie Ziobry w TV, ale nie przyszedł. Pełne zaskoczenie, bo wtedy chyba jeszcze nikt nie wiedział, że to jego *modus vivendi*: unikać sytuacji, które uważa za niewygodne, jeśli nie może występować z pozycji siły, czyli w komfortowych dla siebie warunkach. Zamiast stanąć z otwartą przyłbicą, wybrał unik. Zupełnie jak teraz, kiedy przez ponad rok ośmiokrotnie, mimo wezwań, nie stawiał się na komisji ds. Pegasusa i dopiero za dziewiątym został skutecznie doprowadzony. Zabrakło go też ostatnio na listopadowej debacie o uchyleniu mu immunitetu i wyrażeniu przez Sejm zgody na zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. Śladem Romanowskiego uciekł na Węgry, co nawet nie dziwi po dramatycznych wyznaniach Palikota o więziennej celi, wikcie i opierunku. Ale wtedy w Krakowie to był dla mnie szok. Misterny plan ataku na pisowskiego konkurenta runął, ale ostatecznie wyszło lepiej niż gdyby był i plótł androny. Zakpiłam z jego tchórzliwej rejterady, skrytykowałam antyunijną, a tym samym i antypolską postawę PiS, na koniec rzuciłam hasło, że lepiej Ziobrę grillowacć niż wysyłać do Brukseli, po czym zaprosiłam widzów i media na zioberka w sosie PiStacjowym przed Nowohuckie Centrum Kultury.

Frekwencja dopisała nadspodziewanie. Kilkadziesiąt kilogramów żeberek kupionych na rachunek sztabu wyborczego, rozeszło się w mgnieniu oka. Były serwowane z pysznym sosem w kolorze pistacji, zrobionym z miodu, musztardy i czosnku. Miał wzięcie nawet z samym chlebem, kiedy zabrakło już grilla. Wszystko szło sprawnie, bo do pomocy miałam dwóch zawodowych kucharzy. W czterdzieści minut było po wszystkim.

Sukces był niewyobrażalny. Od trzynastej do północy zioberka w sosie PiStacjowym leciały w każdym programie telewizyjnym i radiowym. Wprawdzie wyborcy wysłali Ziobrę do Brukseli, ale mnie także. Dostałam kilkanaście tysięcy więcej głosów niż „jedynka”.

Wota nieufności 2022

Za drugiego kaczyzmu (2019-2023) Ziobro dokonał trudnej do naprawienia dewastacji wymiaru sprawiedliwości. Toteż w 2022 r. opozycja dwukrotnie wystąpiła z wnioskami o wotum nieufności dla pisowskiego ministra sprawiedliwości. Głosowanie pierwszego odbyło się 26 maja, drugiego 13 grudnia. Jako przewodnicząca koła poselskiego miałam trzyminutowe wystąpienia, bo Sejm w niewygodnych sprawach nie lubi debatować, bez względu na to, która strona sceny politycznej ma większość. Wtedy bezwzględną miało PiS z przystawkami, więc sprawa była z góry skazana na przegraną. Ale, co złego powiedzieliśmy o Ziobrze, tego nam nikt nie odbierze, bo na zawsze zostało w sejmowych stenogramach i nagraniach wideo.

Moje wystąpienia odbiły się szerokim echem w mediach, były licznie komentowane, wzbudziły wściekłość kaczystów i niekłamany zachwyt opozycji. Internauci pisali: „Mistrzyni! Jedzie z tymi pisiorami ile wlezie za każdym razem, gdy wychodzi na mównicę. Coś pięknego”, „Myślę, że przejdzie to wystąpienie do historii polskiego parlamentaryzmu, (...) był to bardzo ważny i potrzebny głos. Dzięki Joannie Senyszyn zero zostało zaorane. Każde słowo było w sedno”, „Podziwiam tę kobietę, choć nie ze wszystkim się zgadzam (....). To logiczna odważna kobieta”, „Nie lubię Senyszyn, ale tu w stu procentach się z nią zgadzam”.

Faktycznie było za co mnie chwalić, bo mówiłam ostro i bez ogródek: Podobno w młodości Ziobro chciał być księdzem. Wielka szkoda, że nie został klechą, bo szkodziłby tylko wiernym, a tak szkodzi całej Polsce. Sprowadził praworządność do standardów rosyjskich i białoruskich, razem z Rydzykiem zrobił z Polski zaścianek Europy. Wziął Polaków za zakładników w swojej prywatnej wojnie z wymiarem sprawiedliwości, konstytucją, Unią Europejską. Kiedyś synonimem Ziobry było zero, teraz minus 160 mld zł, których nie możemy się doczekać z KPO. Z wymiaru sprawiedliwości zrobił prywatny folwark, republikę kolesiów, którymi obsadza KRS, nielegalną Izbę Dyscyplinarną, Sąd Najwyższy, prokuraturę, stanowiska prezesów sądów. Fundusz Sprawiedliwości przekształcił w swoje konto bankowe, z którego hojnie obdarowuje kolesi, zazwyczaj fundamentalistów religijnych i nacjonalistów, siedzących w przychylnych jego partii fundacjach i stowarzyszeniach. Jego odwołanie jest polską racją stanu. Ziobro tolerancji dla szkodnika!

Wyborcy zrobili to 15 października 2023 r. Teraz trzeba szkodnika rozliczyć i pociągnąć do odpowiedzialności. Uczciwie, sprawiedliwie, ale bez zmiłowania.

prof. Joanna Senyszyn

FAKTY PO MiTACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol”
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja elektroniczna: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 40 zł (4 wydania)
„DO-CENT” sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl c170c7d41c

ZAORANE

Janików

Policja aresztowała pijanego 34-latka, który spacerował po mieście z... nogą od stołu i straszył nią mieszkańców. Ciekawe, ile trwały zeznania w tej sprawie? W końcu nawet bez promili ciężko powiedzieć, że w domu został tylko stół z powyłamywanymi nogami.

Bydgoszcz

Co łączy kaplicę i siłownię? Oprócz zapachu spoconych ludzi może... lokalizacja. Proboszcz parafii pw. Opatrzności Bożej na osiedlu Kapuściska wynajął lokal po dawnej kaplicy przy ul. Sandomierskiej. Teraz będzie działała tam całodobowa siłownia. Może dawna woń kadzidła choć na początku pomoże kulturystom.

Lubin

Uwagę policjantów wzbudził 30-latek, pchający w środku nocy przez miasto dziecięcy wózek. Na szczęście, nie jest to początek historii o kolejnym nieodpowiedzialnym rodzicu. Mężczyzna przewoził w nim kradzione kable, które zamierzał potem sprzedać. Jak tłumaczył, wózek znalazł na śmietniku i myślał, że dzięki takiemu kamuflażowi uda mu się bezpiecznie wywieźć łup.

Puławy

W ciągu jednego dnia na terenie miasta doszło do dwóch rozbojów. 67-latek został napadnięty i uderzony kijem bejsbolowym w głowę. Kolejną ofiarą był 77-latek, na drodze którego stanęło dwóch opryszków. Najpierw zaczęli grozić mu scyzorykiem, później wyjęli kij bejsbolowy, którym zaczęli okładać seniora. Obaj napadnięci zapamiętali, że na kiju widniał napis: „Kocham moją mamę" i „Kocham siebie, kocham ludzi", a także rysunek serduszka.

Pyrzyce

Policjanci z drogówki zatrzymali kierowcę peugeota partnera, który nie tylko jechał bez zapiętych pasów bezpieczeństwa, ale pasażerkę przewoził w... bagażniku. Kobieta nie miała aż tak złych warunków podróży, bo kierowca postawił jej kuchenne krzesło. Policja nie informuje o szczegółach sprawy, my jednak czujemy, że pasażerka była teściową kierowcy.

Ubocze

Sprawcą jeszcze bardziej nietypowego zdarzenia drogowego okazał się 63-letni kierowca forda, którego części karoserii obklejone były folią aluminiową. Mężczyzna tłumaczył, że to sposób na ochronę auta przed tajemniczym „medium samochodowym". Może folia chroniła go przed medium, a nawet przed falami 5G, ale nie przed konsekwencjami prawnymi. Grozi mu 5 lat odsiadki nie za kreatywność, tylko za naruszenie zakazu prowadzenia pojazdów.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Prezydent realizuje krok po kroku wszystkie swoje zapowiedzi z kampanii wyborczej. (...) Ludzie czują szczerość i naturalność, dlatego kibice stoją frontem do Karola Nawrockiego i chcą z nim iść.

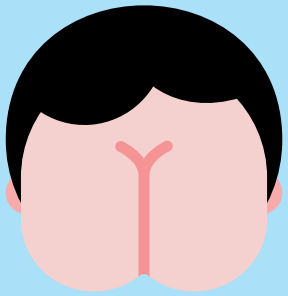

Przemysław Czarnek
poseł

Greenwashing, bluewashing

Niemające polskich odpowiedników anglicyzmy. Powstały z połączenia dwóch angielskich słów, z których pierwsze to kolor kojarzony z określonymi wartościami (*green* – zielony – ekologia, *blue* – niebieski – prawa człowieka), a drugie (*washing*), choć dosłownie to pranie, w zestawieniu z *white* (biały) oznacza wybielanie, tuszowanie, a z innymi barwami jest rozumiane jako „mydlenie oczu" (ściema, okłamywanie).

Oba terminy oznaczają marketingowe działania wprowadzające konsumentów/wyborców w błąd, poprzez manipulowanie informacjami, a nawet oszustwa, aby zaprezentować firmę/partię/polityka, jako jednostki prospołeczne lub prośrodowiskowe, realizujące cele wyższe niż własny interes i zyski. Mydlenie oczu pozwala poprawić wizerunek, wzbudzić sympatię, skłonić do lojalności, bo daje złudzenie zmiany bez zmiany, reformy bez kosztów, dialogu bez słuchania.

Greenwashing. Pojawił się jako pierwsza z kolorowych ściem, w odpowiedzi na modę bycia eko. Polega na wywoływaniu wrażenia, że przedsiębiorstwo i jego produkty są ekologiczne. Ponieważ ocena produktu w 90 proc. opiera się na kolorze, wiele marek zmieniło logotypy na zielone (Land Rover – 1978, Starbucks – 1987, Tropicana – 1998, Orlen – 2020, Android – 2015), a w reklamach pojawiły się łąki i lasy, aby wywołać skojarzenie z naturą, zdrowiem, świeżością, zrównoważonym rozwojem, bezpieczeństwem.

Praktycznie nie ma już produktów, nie wyłączając politycznych, bez choćby jednej z cech *greenwashingu*, którymi są: zastępowanie wiarygodnych certyfikatów fałszywymi albo podawanie zmyślonych danych (tzw. białe kłamstwo), ukrywanie kosztów alternatywnych, tworzenie fałszywego obrazu (np. nazwanie Eko Doliną wysypiska śmieci w Gdyni), informowanie o braku składników, które są zakazane, podawanie niepełnych informacji, napis „wszystko naturalne" na produktach faktycznie naturalnych, ale trujących (np. rtęć), nacisk na „mniejsze zło" (np. ekologiczne papierosy są zdrowsze), fałszowanie rzeczywistego wpływu produktu na środowisko (np. nieszkodliwe pestycydy). Część takich praktyk jest w Polsce prawnie zabroniona.

Bluewashing. Prawnoczłowieczy odpowiednik *greenwashingu*, czyli ściema dotycząca udawania przez firmy i polityków zaangażowania w realizację praw człowieka, sprawiedliwości społecznej, demokracji, tolerancji, pokoju. W *bluewashingu* wartości te zostały wyprane z treści i są jedynie dobrze brzmiącymi hasłami. Kolor nie jest przypadkowy, to barwa powszechnie lubiana, symbolizująca spokój, zaufanie, empatię.

Bluewashing jest swoistym *performansem*: duża spółka, gwarantująca kobietom równe szanse, ma zarząd przypominający męski klub golfowy z 1980 r.; rząd wydaje rozporządzenie o ograniczeniu przyjmowania wniosków azylowych na granicy, a ministrowie robią selfie z uchodźcami. Firma, partia, polityk nie muszą być dobre, wystarczy, że będą wyglądać na dobre. Hipokryzja jest w cenie, bo to hołd składany cnocie przez występek.

prof. Joanna Senyszyn

eprasa.pl c170c7d41c